№ 46. Warszawa, dnia 1 (13) Listopada 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 5, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

STUDYUM LITERACKIE.

Artykuł pana Koldy Malińskiego, pomieszczony w poszycie 5 Sbornika Slovanskego.

(Dokończenie.)

Henryk Rudobrody, cesarz niemiecki, forytował na tron czeski, syna więźnia Sobiesławowego, Henryka i pomagał mu tak skutecznie, iż pomimo wierności ludu dla „księcia wiejskiego", tak lud zwał Sobiesława za jego dobroć dla kmiotków, Henryk zdobył Pragę i wygnał z Czech Sobiesława, który też wkrótce zmarł (1180 r.).

Elżbieta, wzięta do niewoli po zdobyciu Pragi, wkrótce uwolniona została i zapewne dzieliła z małżonkiem ciężkie ostatnie chwili życia jego.

Gdzie się później podziała, nie wiadomo, zapewne wróciła do ojca swego. Zważywszy, że ojciec jej Mieczysław wiele od arystokracyi znosić musiał, a w końcu był przez nią z tronu zrzucony, nie miniemy się zapewne z prawdą sądząc, że Elżbieta w zasadach demokratycznych wychowana być musiała i dzieliła wielką część zasług, za które Sobiesław „królem wiejskim" był nazwany.

Ostatnią w pomienionej trójcy była Rejczka, małżonka Wacława II. Urodziła się w roku 1286 z ojca Przemysława Pogrobka, króla polskiego i małżonki jego Ryksy, córki Waldemara szwedzkiego. Miała lat dziesięć, gdy ojciec jej zdradziecko został zamordowany. Oddano ją wtedy na wychowanie do ciotki Konstancyi, małżonki Konrada Brandeburskiego. Śmierć Przemysława dała hasło do rozmaitych zaburzeń w Polsce, dla uśmierzenia których ofiarowano koronę Polską Wacławowi II, oddając mu przytem, ponieważ był wdowcem, jedyną córkę zmarłego króla za małżonkę. Wacław na oboje ochotnie się zgodził i z wielkiem wojskiem udał się do Polski. Przyciągnął do Gniezna i tu był przez arcybiskupa Piotra, w przytomności pozostałych biskupów polskich, koronowany na króla polskiego. Uspokoiwszy swoje nowe królestwo, wrócił do Czech i wysłał Benesza (Benedykta) z Wartemburga, oraz Heidenreicha, opata sedleckiego, po swoją narzeczoną. Ci z wielką uroczystością przywieźli ją do Pragi, gdzie król oddał ją ciotce swojej Gryfinie, owdowiałej księżnie krakowskiej, na dalsze wychowanie.

Dnia 25 Maja 1303 roku, ulegając radom duchowieństwa, osobliwie zaś Konrada, opata zbrasławskiego, zaślubił nareszcie król Wacław siedmnastoletnią już Rejczkę, a zaraz po zaślubinach ta ostatnia ukoronowaną została przez Henryka, biskupa Wrocławskiego na królowę polską i czeską, przyczem, stosownie do jej woli, zmieniono imię Rejczka na Elżbieta. Po roku, dnia 15 Czerwca 1304 roku, porodziła królowa córkę Agnieszkę, a znów po roku, była już wdową. Król Wacław zmarł w kwiecie wieku 21 Czerwca 1306 roku.

W ostatniej swej woli pamiętał o ukochanej Małżonce i przekazał jej jako wiano, dwadzieścia tysięcy grzywien.

Ale wdowieństwo Elżbiety nie trwało długo. Po śmierci ostatniego Przemysłowicza stany czeskie, wybrawszy Rudolfa, wnuka cesarza Rudolfa Habsburskiego, położyły mu za obowiązek, aby jedną z królewskich wdów lub cór za małżonkę sobie wybrał.

Rudolf wybrał Elżbietę i zaślubił ją 16 Października 1306 roku w głównym kościele św. Wita. Elżbieta gorąco kochała swego drugiego małżonka, lecz i z tym nie długie sądzone jej było pożycie, po dziewięciu bowiem miesiącach zaledwie, zmarł przy oblężeniu miasta Horaździowic 4 Lipca 1307 roku.

I ten pamiętał w testamencie o swej małżonce i zabezpieczył jej równą, jak Wacław, summę na królewskich miastach Hradcu, Wysokiem Mycie, Chrudimiu, Policzce, Bydżowie i Jaromierzu.

Przez miłość dla męża, Elżbieta stała się też gorącą zwolenniczką Habsburgów, co, gdy po

śmierci Rudolfa wstąpił na tron Henryk Korutański, było dla niej przyczyną wielu chwil ciężkich. Za pomocą teścia swego, cesarza Albrechta, udało jej się uciec z Pragi, gdzie ją trzymano w zamknięciu i dopiero, gdy po śmierci Albrechta, syn jego Fryderyk zawarł pokój z Henrykiem Korutańskim, powróciła do Czech i zamieszkała w Hradcu nad Łabem, który odtąd zwać się począł Hradcem królowej. Postawiła tu sobie czerwony, ceglany zameczek i urządziła dwór swój tak wspaniale, że zwano ją „hradecką królową". Miała wtedy niespełna lat trzydzieści, to też serce nie wystygło w niej jeszcze i pokochała gorąco pięknego a ambitnego dworzanina Henryka z Lipy. Źle na te miłostki patrzano, lecz gdy Henryk z Lipy chciał się rządzić i samowolnie wydał córkę Wacława II, Agnieszkę, za księcia Jaworskiego, powołano go do Pragi i o mało nie spotkał go los Zawiszy z Falkenssejnu.

Tymczasem zapłonął ku niej gorącą miłością król Jan, za którą Elżbieta przez kaprys jakiś wzajemnością się odpłaciła. Wkrótce jednak opamiętawszy się, wyjechała do Brna, aby być bliżej swego wybranego Henryka z Lipy, który od roku 1321 był hetmanem ziemskim morawskim. Założyła tu klasztor Cystercyanek, gdzie żyła aż do śmierci pana z Lipy, która nastąpiła w dzień św. Rufa 1329 roku. Złożywszy na wieczny spoczynek zwłoki kochanka w swym klasztorze, powróciła do Hradcu, gdzie w dali od zgiełku światowego, przeżyła resztę swego tak głośnego i awanturniczego życia. Zmarła 18 Października 1336 roku.

„Swatawę, małżonkę Wratysłała", powiada pan Kolda Maliński, „błogosławiło duchowieństwo, dla którego była tak hojną, Elżbietę, małżonkę Sobiesława, błogosławił lud wiejski, że mu była orędownicą w ciężkich chwilach; Elżbietę, wdowę po dwóch królach, błogosławiło mieszczaństwo, że łaskawą była mu panią, a naród czeski słał błogosławieństwa narodowi polskiemu, że darował mu trzy cudne kwiaty, rozkwitłe na rozległych błoniach sławnej i potężnej Polski."

Z. P.

TRZEBA RZUCIĆ.

Oj! dzieweczko, trzeba rzucić,
I matusię i krosienki,
I z słowikiem przestać nucić,
Ulubione swe piosenki.

I ten domek cichy, strojny,
W świeże kwiaty i słoneczko,
I wianeczek z rozmarynu,
Trzeba rzucić ci dzieweczko.

I tę brzozę co nad wodą,
Stoi zdobna w swe warkocze,
Dziadka z siwą, długą brodą,
I bociana co klekocze.

I ten śliczny kwiat kaliny,
Trzeba rzucić choć niechętnie,
Bo on tylko dla dziewczyny,
Gdy przystraja się odświętnie.

Het! z daleka, z za doliny,
Może z cudzej, obcej strony,
Przyjdą swaty do dziewczyny,
I zabierzę ulubiony.

Domek pusty sam zostanie,
Listki zwięknę pod kaliną,
Słowik tylko nucić będzie,
Tęskne dumki za... dziewczyną.

Marya Samborska.

OCALONY.

NOWELLA

odznaczona zaszczytnie na konkursie Tyg. Illustrowanego.

SKREŚLIŁ

Anatol Krzyżanowski

(Dalszy ciąg.)

O ile szlachetną jest i słuszną zasada: „upaść może naród wielki, zginąć tylko nikczemny", gdy chodzi o społeczeństwo całe, o lud, który żywotnością własną może się dźwignąć i przy życiu utrzymać, może pracą wytrwałą i wyższością moralną skruszyć nienawistne pęta i zwycięzony zapanować nad zwycięzcą, o tyle ten sam aforyzm nie da się bynajmniej zastosować do pojedyńczych rodzin lub jednostek. Przeciwnie, zdawałoby się, że jednostki szlachetne szczególniej, są wskutek własnego idealizmu i braku odporności na otaczające wpływy, z góry skazać na zagładę; że w świecie dzisiejszym, w świecie pracy i gorzkiej o chleb walki, nie ma miejsca dla cichych marzycieli, dla pracowników bujających w idealnych sferach, tak jak nie ma miejsca dla rodzin, które zapisawszy w kartach swoich dziejów, wszystkie przejścia historyczne, zaznaczywszy świetny szereg usług oddawanych ojczyznie w radzie i boju, doszły po to do zenitu sławy, rozwoju i znaczenia, aby później milknąć stopniowo, upadać i zamknąwszy się w ciasnych ramach domowych... zamierać powoli.

— Rodów takich u nas bardzo się wiele znajduje. Snać praojcowie ich, wyczerpawszy siły z wrogiem otoczeniem, nie mogli już przekazać dzieciom fizycznej i moralnej mocy, która podtrzymując ducha, czyni człowieka wszędzie panem położenia. Anemiczne więc, marzycielskie, zamierały zwolna, niezdolne do określenia własnej choroby.

Do szeregu takich świetnych zabytków przeszłości, należał dom Zapolskich także. Niegdyś możny i wpływowy, znany na dużych kraju obszarach, cieszył się ogólną czcią współbraci i zaszczytną w historyi sławą, później jednak, srogie jakieś fatum, dziejowe przekleństwo może, zawisło nad nieszczęsnymi. Pradziad ich, słynny Targowiczanin, zapisawszy imię swe na pierwszej karcie ze Szczęsnym Potockim i całą zgrają warchołów, z których część w złej wierze, część zaś na mocy rzeczywistych przekonań szła na przekór życzeniom ogółu, chwilową swą winę tragiczną okupił śmiercią. Zobaczywszy bowiem do czego doprowadziły knowania jego stronnictwa, uległ strasznemu pomieszaniu zmysłów, któremu zgon samobójczą zadany ręką, koniec dopiero położył.

Na szczęście jednego tylko miał syna, brzemię więc wstydu i niedoli, nieliczną dotknęło rodzinę. Odtąd jednak piękna karta w rocznikach starożytnego domu zginęła bezpowrotnie, ród zaś cały zaczął karłowacieć i zamierać powoli. Gwarne niegdyś komnaty nie rozbrzmiewały śmiechem i szczebiotem dzieci, przez trzy bowiem pokolenia, Zapolskim Bóg jednego tylko zawsze zsyłał potomka a i ten nosił na czole jakby piętno melancholii i marzycielstwa. Syn pysznego Targowiczanina, uchronił się od ciężkiej niedoli, wnuk wszakże padł już ofiarą dziedzicznej choroby, której zaród z sobą snać na świat ten przyniósł. Gdy po kilkoletnich męczarniach śmierć wybawiła go wreszcie od szaleństwa, pozostały syn Zygmunt cios ten przyjął w pokorze i z poddaniem, zbyt rozumny jednak, aby przypisać wypadkowi to, co było prostym wynikiem fizyologicznych praw spadkowości, postanowił iż sam nigdy się nie ożeni i że nie chcąc przekazywać synowi strasznych zarodów szaleństwa, nie chcąc mnożyć nieszczęśliwych i obłąkanych, woli stokroć, aby ród ich, zamarł wraz z nim na zawsze. Był ostatnim potomkiem Zapolskich, ostatnim przedstawicielem imienia, a jednak gdy matce oznajmił o nieodwołalnem swem postanowieniu, zagorzała arystokratka, ślepo przywiązana do imienia, lecz obok tego zacna staruszka, wspomniawszy na katusze jakie przeszła przez kilka lat szaleństwa męża, kornie schyliła głowę, słuszną przyznając mu racyę.

Przez dziwną jednak natury ludzkiej zagadkę, to czego dosięgnąć nie możemy, nabiera dla nas szczególnej wartości i powabu. Podczas też, gdy inni młodzi ludzie, postawieni w warunkach Zygmunta, używaliby z rozkoszą kawalerskiej swobody, Zapolski przeciwnie, tęsknił do cichej atmosfery kółka rodzinnego, nie mogąc zaś sobie stworzyć takowej, zamknął się na wsi, a zdjąwszy ze skołatanej głowy matki staruszki, ciężar gospodarstwa, podzielił czas swój, pomiędzy obowiązki rolnika i właściciela obszernego majątku, a ulubione studya historyczne, którem każdą wolną poświęcał chwilę. Poważne upodobania uczonego badacza, zarówno jak i wyższość umysłu i stanowiska, stawiały go w pewnem odosobnieniu od reszty sąsiadów, którzy szanowali go bardzo, nie znajdując tu wszakże chartów, polowania, kart i zwykłych rozrywek, rzadko nawiedzali poważną siedzibę Zapolskich.

Zbyt osamotniona wśród takich warunków matka Zygmunta, w braku własnych dzieci wzięła na wychowanie cioteczną wnuczkę swoją, równocześnie zaś prawie, stary sługa rodziny ich i dawny wiarus polski, polecił konając, dziedziczce swej, opiekę nad maleńką 8-letnią córeczką, którą osierocał niespodziewanie.

Piastun Zygmunta i towarzysz broni jego ojca, powierzył swój skarb jedyny *paniczowi*, który dziś już poważnym 30-letnim będąc człowiekiem, przysiągł prawie nieszczęsnemu, iż dziecię jego jak swoje wychowa, a odrywając maleńką od stygnącego trupa ojca, we własnych uniósł ją ramionach i pierwsze łkania jej na swojej utulił piersi.

Odtąd w życiu Zygmunta nowy przybywał żywioł: spragniony związków rodzinnych, zajmuje się żywo wychowaniem dwóch sierotek, nie czyniąc między siostrzenicą swą Wańdzią, a Maryjką ubogą córką ekonoma, najmniejszej różnicy. Przeciwnie wuj Zygmunt, poważny profesor i przewodnik obu panienek, obowiązki opiekuna tak spełniał sumiennie, iż kierunkiem wychowania ich osobiście się zajmował, wytwarzając w ten sposób, między sobą a pupilkami, podwójny węzeł sympa-

tyi. Podczas jednak, gdy figlarna Wańdzia wymykała się z pod jego wpływu, unikając studyów zbyt poważnych, Maryjka gruntowniejszym i wyższym obdarzona umysłem, słuchała wykładów z gorączkową żądzą nauki, a oddając się z upodobaniem, zagłębianiom w tajnikach myśli ludzkiej, zdobyła wiedzę nad swój wiek rozległą i wszechstronną, która zdumiewając Zygmunta samego, wyrobiła między nim a chciwą nauki uczenicą stosunek odrębny zupełnie. On patrzył z dumą na ten umysł młodziutki, co jak kwiat do słońca, zwracał się do niego po strawę duchową, roztaczając skarby całe poezyi i uczucia, ona spoglądała na mistrza swego ze zwykłem uwielbieniem prozelity, które wobec powagi uczonego i ojcowskiej niemal dobroci, jaką otaczał sierotę, w cześć się z jej strony zmieniło. To też dla pięknej pupilki, stawał on się z biegiem lat wzorem wszelkich cnót i przymiotów, mistrzem, na którego z nietajonem spoglądała uwielbieniem, będąc dumną, że ją czynił pomocnicą swą w studyach, sekretarzem i lektorką zarazem.

Zygmunt równocześnie posługiwał się nią jak swym uczniem ulubionym, a straciwszy od dawna nadzieję, aby w Wandzi dało się obudzić zamiłowanie do pracy poważniejszej, rozwijał ją tem silniej w Maryi, nie zdając sobie sprawy nawet, że suche, polityczne, lub historyczne wywody, czytane przez te karminowe usteczka, wypowiadane świeżym, młodzieńczym głosem i illustrowane czarnych źrenic wejrzeniem, nabierały większej siły i znaczenia, a otrząsając się z wiekowej pleśni, zdawały się silniej do wyobraźni uczonego przemawiać.

I byłoby to życie ciche, pełne nieujętego uroku, trwało jeszcze długo, gdyby nie to, iż upłynione lata, z dzieci zrobiły panienki, złotowłosa zaś Wańdzia, jako bogata i niezbyt trudna w wyborze wkrótce po włożeniu długiej sukienki zaręczoną została. Małżeństwo jej było dla wychowanki hasłem opuszczenia domu, który z chwilą wyjazdu p. Zapolskiej i babki jej, przestawał dla niej istnieć przecież.

Cały ten szereg wspomnień przesunął się szybko przez umysł Zygmunta, postępującego zwolna ku werendzie. W ręku trzymał pączek róży białej, rozchylającej zaledwo listki swe ku światłu, podczas gdy serce jego zaróżowione lekko, zamkniętem było jeszcze zupełnie.

— To jej obraz — wyszeptał do siebie.—Z wiarą młodości chce się w świat rzucić, bo nie wie, że brutalna ręka może zmiażdżyć pączek, zaczem on jeszcze rozwinąć się zdoła. Naszym jest obowiązkiem nie dopuścić do tego.

Takie jak ona istoty, stworzone dla kółka wybranych i zdolne domowe ognisko w raj im zamienić, nie powinny stykać się z twardym życia realizmem.

Wchodząc zaś do pokoju pani Zapolskiej, zawołał żywo:

— Czy wiesz, mamo, Maryjka zamierza na seryo dom nasz opuścić i szukać chleba w świecie.

— Co za myśl! — oburzyła się matrona. — Ma zaledwo lat 19. Do pełnoletności od nas zależy, tymczasem wydamy ją za mąż i do własnego pojedzie domu.

— A my? — wybiegło mimowoli na usta Zygmunta.

— My, mój chłopcze, dokończymy życia we dwoje. Niewolno nam podjętego zadania skalać egoizmem i poświęcać jej dla siebie, żądając aby w zamian za opiekę lat kilku, oddała nam przyszłość całą i wyrzekła się osobistego szczęścia na świecie.

Tak, nie miał prawa kalać samolubstwem szlachetnie rozpoczętego dzieła, nie miał prawa przykuwać młodego jej życia do ciężkiej taczki obowiązku, jaką sam pchał z trudnością. Sądził dotąd, iż wyrobił sobie spokój filozofa, że nim zdoła gorętsze zastąpić porywy! Ha, ha, ha, gdzie jest ten spokój? Czy po to przez lat tyle potrafił się utrzymać na wysokości zadania, aby dziś jedna chwila zachwiała całym gmachem sztucznych dowodzeń i teoryi, aby walkę potrzeba było rozpoczynać na nowo?

A jednak walka ta długie dni trwała, odbijając się wyraźnie w zachowaniu i powierzchowności Zygmunta.

Podczas jednej z chwil takich zgoryczenia, gdy stał wsparty o okno bocznego gabinetu, słuchając gwaru głosów dochodzących z salonu, naraz delikatna rączka dotknęła jego ramienia.

Zapolski podniósł głowę niecierpliwie. Przed nim stała Marya, a wielkie, aksamitne jej oczy nieukrywany wyrażały niepokój.

— Co ci to, opiekunie? — zapytała cichutko.

Zygmunt patrzył czas jakiś w delikatne, piękne jej rysy i naraz gniewnem opanowany uczuciem, odwrócił się napowrót do okna, odpowiadając szorstko.

— Nic mi nie jest, nic zupełnie!

Dziewczę patrzyło nań smutnie, a nie dając się zrazić złym humorem, stanęło z drugiej strony.

— Czy zawiniłam czemkolwiek — zapytała łagodnie — że pan się gniewasz na mnie?

Zapolski spojrzał ponownie w głębię tych źrenic czarnych, z niemą prośbą zwróconych ku niemu i jakaś niewytłomaczona wściekłość opanowała go naraz. Szorstkim ruchem uwolnił ramię swe od dotknięcia małej jej rączki, a na usta wybiegły mu ostre wyrazy:

— Gniewać? Ale cóż znowu, zachwycony jestem postępowaniem twojem, proszę idź do salonu, gdzie się wszyscy stęsknili pewno za tobą, a mnie zechciej w świętym zostawić spokoju!

Maryjka patrzyła na niego zdumiona i dotknięta boleśnie. Nie rozumiała co mogło spowodować wybuch podobny. Na długich, czarnych jej rzęsach, dwie łzy zabłysły, z ust jednak ani jedno nie wyszło słowo. Powoli, z trudnością odwróciła się i dając perełki te czyste za jedyną odpowiedź pokój opuściła.

Zapolski przerywając po chwili z głębokiem westchnieniem zadumę, rzucił się na fotel i ujął leżącą na stoliku powieść Auerbacha. Napróżno jednak z zajęciem przebiegał jedną i drugą kartkę, zdania wydawały mu się powikłane, myśli niejasne, widocznie Maryjka, która ją dotąd czytała, umiała dźwięcznym swym głosem, pokryć wady stylowe.

Zniecierpliwiony rzucił książkę, biorąc z kolei psychologiczną rozprawę Ribota, lecz gwar dochodzący z salonu czytać mu przeszkadzał, a co prawda i litery buntownicze zlewały się w jeden punkt czarny, który stopniowo przybierał kształt dwóch ciemnych, łzą błyszczących źrenic.

Zapolski podniósł się niecierpliwie.

— Byłem brutalem — wyszeptał. — I za co? Cóż ona temu winna, żem chory i rozdrażniony, że sam sobie nie umiem zdać sprawy z wrażeń mną miotających.

Przesunął ręką po czole i stanął na progu salonu. Obok kanapki zajmowanej przez matkę jego, siedziała Marya, a przed nią na nizkim taborecie, pochylony ze śmieszną w podeszłym wieku galanteryą, stary żmujdzin Rymgajło, trzymał na szeroko rozstawionych jak u wiatraka rękach, motek kolorowej włóczki, którą dziewczę zwijało powoli, rozmawiając równocześnie, ze stojącym obok młodym człowiekiem.

— Czyby mnie pani nie raczyła objaśnić — pytał Henryk, ów przystojny, gawędzący z nią blondyn — dlaczego pan Rymgajło był szczęśliwszym ode mnie?

— Bo może mniej tego pragnął.

— Panno Maryo dobrodziejko, ja tylko nie mówiłem, bo nie w tem rzecz, ale jak pani trzymać kazała, aż mi się na duszy jaśniej zrobiło.

Dziewczę spojrzało na niego z pewnem politowaniem.

— Niemniej niestosowne to dla pana zajęcie — wyrzekła łagodnie — proszę zechciej oddać włóczkę p. Henrykowi.

— Kokietuje obydwóch — wyszeptał Zygmunt gniewnie do siebie, a zbliżając się do niemłodego żmujdzina:

— Panie Rymgajło, porzuć te pajęcze okowy, bo dla naszego wieku to śmieszne zajęcie, chodź wypalimy lepiej razem cygaro i pomówimy o gospodarstwie.

— Dlaczego śmieszne—podjął z urazą litwin.— Mojej nieboszcze pierwszej żonie, także bywało nieraz za motowidło służyłem.

Na licach obecnych wesołość się odbiła, młodszy zaś z gości, składając ukłon, wygłosił żartobliwie.

— Panno Maryo, na tak wyraźny komplement, pozostaje mi tylko powinszować pani.

Zygmunt gniewnie brwi zmarszczył.

— Za pozwoleniem, sąsiedzie — wyrzekł — a dawno to temu było?

— Ot, zachciałeś — żżymnął się litwin.—Dwadzieścia cztery lata jak obszywszy, odkąd w Dunderowszczyznie, poczciwy ksiądz Diezpinigajtys związał mi po raz pierwszy ręce przy ołtarzu.

— Mam nadzieję, że i po raz ostatni — dodał Zapolski z naciskiem.

— Nie wiem, nie wiem—zaprzeczył wzdychając przyczem szare jego oczki, pobiegły z rozczuleniem ku pięknej towarzyszce.

— Ale ja wiem — zakończył Zygmunt chmurnie — wątpię bowiem, abyś pan miał zamiar starać się o kobietę lat średnich, młode zaś panienki, nie dla takich, p. Rymgajło, jak my weteranów, chyba żebyś jej chciał naprawdę za motowidło, nie za męża służyć.

Litwinowi krew do głowy uderzyła. Nauczka była zbyt wyraźną, aby jej nie miał zrozumieć, ponieważ jednak Zapolski i siebie w niej pomieścił, nie miał się prawa obrazić, spojrzał tylko błagalnie na Maryą, której czarne oczy nie opuszczały zwijanych jedwabi i powstał, chcąc życzeniu gospodarza zadość uczynić.

Zygmunt skierował się ku balkonowi, nie dość jednak szybko, aby uniknąć, wyszeptanej półgłosem przez innego gościa uwagi.

— Biedny Rymgajło, jakąż ostrą dostał odprawę. Czy tylko wzorowy i cnotliwy opiekun, nie jest czasem o pupilkę zazdrosny.

Słowa te jak gromem go uderzyły, niepomny też na zaproszonego Rymgajłę, skierował się sam w cienistą aleę ogrodu. Czy wzorowy opiekun nie jest czasem o pupilkę zazdrosny? Przypuszczenie to, które dotąd w jego własnym nie powstało umyśle, nagle rozświetliło w nim mgłę niepewności, jakąś dziwną chmurę, zaciemniającą mu od pewnego czasu jasność sądu i dziedzinę uczuć. Czy nie był o nią zazdrosny? Zygmunt słowem tem jak

skalpelem własne rozdzierał serce, pomimo jednak bólu zdradzającego obecność cierpienia, postanowił z nieugiętą sumiennością badacza, zajrzéć do głębin jego. Czy był zazdrosnym? Nie. On kochał to blade, ciemnowłose dziewczę, jak swoją córkę prawie, jak dziecię swego ducha. Dumnym był z rozumu jej i wykształcenia, z szlachetności serca i wyższości umysłu. Zapał jaśniejący w czarnych oczach Maryi, odmładzał go i porywał niejednokrotnie, nadawał cechę życia wspólnem pracom i myślom, lecz nigdy nie budził w nim pragnień egoistycznych. Dziś gdy możność utracenia jej zbliżała się coraz bardziej, był może gniewny i rozdrażniony, ale dlatego jedynie, iż bał się o los jej, że szczęścia jej pragnął.

Rozumowanie to jednak, sztuczne widocznie, nie mogło ukoić dziwnego zniechęcenia, jakie go opanowało do życia. Czem ono będzie, gdy pozostanie tu sam jeden, wśród tych ścian pustych? Zygmunt gniewnie brwi ściągnął.

— To egoizm — wyszeptał. — Egoizm, który potrafię stłumić i zdeptać, którego jej ani jednem nie okażę słówkiem. Niech tylko ona będzie szczęśliwą, niech mi pozwoli czuwać nad sobą, więcej niczego nie pragnę.

Łudził się biedak, czując zaś potrzebę zatarcia w pamięci wychowanki poprzedniego wystąpienia, oraz wrażenia, jakie uwaga o zazdrości opiekuna (jeżeli ją usłyszała) mogła wywrzéć na nią, skierował się ku domowi, a spotkawszy idącą Maryjkę, zbliżył się ze zwykłą swą ojcowską dobrocią i ujmując rękę jej, wyrzekł łagodnie:

— Pewno gniewasz się na mnie? I miałabyś słuszność nawet, bo ci dzisiaj dwukrotnie przykrość wyrządziłem.

— Gniewać się na ciebie, opiekunie? — zapytała, podnosząc ku niemu wielkie, smutne swe oczy.— Alboż to możebne?

Zapolski patrzył chwilę w niebezpieczną ich głębię, mimowolnym pociągnięty magnetyzmem, poczem westchnął i rękę po własnych przesunął powiekach, jak gdyby chciał złą jakąś myśl odegnać.

— Przypuszczam, że możebne — odrzekł z półuśmiechem. — Wszak nie jesteśmy już małą Maryjką, lecz skończoną p. Maryą?

— Dla was, dla pana i babuni — przerwała żywo — zawsze tą samą Maryjką.

— Rymgajło innego snać jest zdania, a że mógłby być prawie dziadkiem pani, wobec więc śmiesznej roli jaką przybiera, musiałem mu tę smutną prawdę dać uczuć. Ludzie w tym co on i ja wieku, powinni o tyle cenić godność własną, aby niewczesnemi żądaniami nie ośmieszać się nawet.

— W tym wieku co on i ty, opiekunie?—podjęła, a na usta jej wybiegł mimowolny śmieszek srebrny, tem czarowniejszy, że rzadko nader u niej słyszany. — Czy wolno wam równać się? Ależ on mógłby być ojcem pańskim!

— Cóż znowu? Różnica nie jest w gruncie tak wielką.

— Tylko lat ze dwadzieścia — roześmiała się powtórnie a ubawiona widocznie porównaniem wytwornej i poważnej postaci Zygmunta, do otyłego o zawiesistych wąsach litwina, dodała żartobliwie:

— Jeżeli różnica nie jest tak wielką, gdzieżeś pan podział siwiznę i łysinę?

— Na to przyjdzie czas jeszcze, zresztą biały włos znajdzie się już niejeden zapewne — i stosując się do wesołego jej tonu, pochylił lekko głowę przed dziewczęciem.

Maryjka spojrzała uważnie na bujne, ciemne jej włosy, a dotykając ich paluszkiem, zawołała z tryumfem:

— Ani jednej srebrnej niteczki! Są tak czarne jak moje!

Zygmunt pod dotknięciem tego paluszka, który się lekko po głowie jego przesunął, wyprostował się nagle i blady z bruzdą silną między brwiami, o krok w tył się cofnął.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OBOJE.

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Ciocia Klemusia była widocznie zdziwioną transfiguracyą imci pana Marcina, ale przyjęła ją z widocznem zadowoleniem. To samo uczucie malowało się na twarzy pana Ludwika, który nawet powstał, aby „zimnego” stryjaszka goręcej za to uścisnąć. Tylko pani Aurelia doznała niemiłego zawodu, widząc, że mniemany dziwak familijny wcale przyzwoicie wygląda. Towarzysz pana Marcina odgrywał tu rolę podrzędną.

Kilka chwil trwało milczenie. Zdawało się, że imci pan Marcin cieszył się w głębi duszy widząc jakie wrażenie sprawia jego transfiguracya. Zajęty tą rozkoszą zaczął, odkrząknąwszy:

— Naprzód muszę państwu wyjaśnić...

Tu spojrzał na swego towarzysza. Towarzysz dał mu ruchem brwi jakiś znak tajemniczy. Imci pan Marcin urwał, zatkawszy usta szeroką ręką.

— Pst! — dodał półgłosem — ani mru mru, choć mnie to wiele kosztuje.

W salonie nie umiano sobie tych słów wytłomaczyć. Pani Aurelia widziała w nich jakąś zabawną mistyfikacyą. Wszyscy czekali niecierpliwie rozwiązania. Młody mężczyzna z pewną obawą spojrzał na imci pana Marcina. Imci pan Marcin patrzał także na niego ale z taką rozkoszą jakby patrzał w twarz Cherubina.

— Dalibóg — rzekł po chwili — że nie mogę przełknąć tego, ale jeżeli jest taka wola twoja, kochany Auguście, to połknę chociażbym się miał udławić jak wrona kością.

Imci pan Marcin przełknął kilka razy, aż mu oczy na wierzch jak u raka wylazły, młody mężczyzna uśmiechnął się. Ciocia przyszła teraz w pomoc.

— Pozwól kuzynie — rzekła zbliżając się do niego — że ci przedstawię... panią Ludwikową.

— Za pozwoleniem — przerwał p. Marcin — pierwej przedstawię wam najzacniejszego i najlepszego z Brańskich, Muszyńskiego Augusta, którego matka Brańska z domu, wyszła była za mąż za tego rezydenta bez ręki u j. w. hrabiego...

Ciocia zmarszczyła brwi zmierzywszy nowego kuzyna.

— Który — ciągnął dalej p. Marcin — jest teraz zarządzcą wielkiej cukrowni w majątku imci pani hr. wdowy.

Nowy ten nabytek familijny nie był tak straszny jak pierwszy, przyjęto go dosyć obojętnie, tylko ciocia mierzyła młodego człowieka od stóp do głowy, swemi małemi, świecącemi oczami. Nie wiedziała, że na scenę familijnego melodramatu przybył nowy spektator.

VI.

Z drzwi pobocznych weszła do salonu Janina. Słusznego wzrostu, wysmukła jak topola, o bujnych, złotego koloru włosach, które w nieładzie spadały na białą szyję, wyglądała na tle popielatej ściany jak piękna, efektowna akwarela.

Fałdzisty szlafroczek otaczał jej piękną kibić związany w pasie grubym, wełnianym sznurem. W jednej ręce trzymała owalny obraz, na którym widne były jakieś figury mitologiczne. W drugiej ręce trzymała paletę i wetknięte w nią pendzle.

Ujrzawszy pana Marcina i towarzysza zatrzymała się przy progu. Jej oczy szafirowe patrzały z pewnem zdziwieniem na nieznajomych, między którymi odgadywała zapowiedzianego dziwaka. Pewna ciekawość nie pozwoliła jej cofnąć się, choć w pierwszej chwili miała ochotę.

Cioci Klemusi przyszła teraz w pomoc pani Aurelia. Zbliżyła się do pana Marcina i podała mu drobną rączkę.

— Pan kapitan — zaczęła z wdzięcznym uśmiechem...

— Za pozwoleniem — przerwał imci pan Marcin — tylko sierżant trzeciego pułku.

— Gdyby trzeci pułk dotąd istniał, byłbyś pan już więcej niżeli kapitanem: ten tytuł panu słusznie się należy.

— Zbyt wiele łaski, dobrodziejko — odparł p. Marcin, całując ją w rękę głośno.

— Miło nam zawsze poznać kuzyna, o którym nam powiedziano, że nie lubi godzić się z dzisiejszym światem. Jest to bardzo chwalebnie, a dziwnie wygląda, jeżeli się wszyscy modernizują.

— Święte słowa, dobrodziejko — ale że takim w tej chwili jestem, to jest grzechem mego krewniaka Augusta, któremu to zawdzięczam...

Młody towarzysz pana Marcina ruszył znów brwiami do niego.

— Już nic nie pisnę ani słówka — dodał szybko pan Marcin — tylko co do grzechu muszę dodać, oby takie grzechy pleniły się jak najwięcej między ludźmi.

Po chwili spuścił imci pan Marcin głowę na piersi.

— Powiadają — rzekł jakby do siebie — że nie suknia zdobi człowieka. W szarym kubraku byłem sierżantem, a w nowej, czarnej opończy zaawansowałem na kapitana. I bądźże tu mądrym!

I łypnął jednem okiem na młodego krewniaka. August zmarszczył brwi. Pan Marcin dodał prędko:

— Przecież nie powiedziałem, zacny Auguście, z czyjej łaski mam tę nową opończę...

August nie słyszał tych słów, bo w tej chwili patrzał na piękną blondynkę, która jak żywy obraz posuwała się nieruchomie w głębi sceny.

Ciocia Klemusia przerwała tę niemiłą rozmowę, prosząc obu krewnych, aby sobie usiedli, do czego także dopomogła pani Aurelia. Teraz dopiero spostrzeżono obecność Janiny i przedstawiono ją krewnym.

Oficyalnie nazywano się wzajem krewnymi, ale nie było między nimi jakoś owego ciepła, które jedna krew daje. Patrzano na siebie jakby przez odwróconą perspektywę. I nic dziwnego. Nie

dziwnego. Nie znali się, nic nie wiedzieli o swojej przeszłości, nie mieli wspólnych dziejów.

Zrazu ciocia Klemusia kierowała zręcznie rozmową, aby w oczach pani Aurelii ubarwić jak tylko można było stosunki rodzinne. Pan Marcin jednak psuł często jej szyki, które trzeba było kunsztownie na powrót porządkować. Pani Aurelia miała łatwiejszą rolę. Rozmawiała z Augustem wypytując go o różne szczegóły Podola i Ukrainy, zkąd właśnie August przyjechał. Janina siedziała zdaleka we framudze okna. Trzymała ciągle obraz i paletę, a trzymała w pozie tak malowniczej, że August kilka razy w rozmowie z panią Aurelią się pomylił i niestosowną dał odpowiedź. Gniewało go to widocznie, bo głowę do góry wyrzucił z pewną dumą, jakby chciał sam siebie skarcić za niepotrzebną słabość. Nawet do okna obrócił się profilem, aby pokazać, że prócz rozmowy z gospodynią nic go innego nie zajmuje.

— Czy na długo przyjechałeś pan do naszego miasta? — zapytała w końcu pani Aurelia.

— Na dwa lub trzy tygodnie najwięcej — odpowiedział stanowczym głosem August.

— Zapewne w interesach fabryki?

— Nie, pani, we własnym moim interesie.

— Czy można zapytać w jakim?

— I owszem, mam zwyczaj otwarcie wypowiadać, a dzisiaj jest to nawet w moim interesie, bo inaczej nie dopiąłbym celu mojej podróży.

— *Excusez*, jakiż jest ten cel?

— Ożenić się.

— Ożenić się? — powtórzyła z uśmiechem żartobliwym pani Aurelia i zamilkła.

Taki sam uśmiech przeszedł po bladej twarzy Janiny. Widać było z tych uśmiechów, że rozmowa weźmie teraz zwrot żartobliwy. Nie podobało się to widocznie Augustowi. Twarz jego zimna i spokojna jak z marmuru wykuta, przybrała wyraz lekkiej ironii.

— Widzę — odpowiedział z podrażnieniem—że moją odpowiedź wzięłaś pani za żart dowcipny. Nic dziwnego. Długie wieki składały się na to, aby wyobrażenia nasze wypaczyć i zamiast trzymać się praw przyrodzonych, stworzyć wygodną metodę tracenia czasu zamiast spotrzebowania go na pełnienie obowiązków. Do tego należą żarty, dowcip, szermierka z wiatrem. Przypomina to paradę ćwiczeń wojska, które niby strzela do nieprzyjaciela i atakuje go nie widząc nikogo przed sobą. Należę do tego pokolenia mezkiego, które nie wierzy w fantazye i nie prowadzi walki jak Don-Kiszot z wiatrakami. Słów nie szafuję bez celu, bo ekonomia społeczna tak samo władać powinna w umysłach, jak w warsztatach produkcyi społeczeństwa. Proszę więc wierzyć, że wcale nie żartowałem, mówiąc o celu mojej podróży.

Z pod okna zaleciał teraz lekki jak zefirek śmieszek ironiczny. August spojrzał tam i obaczył podnoszącą się z krzesła Janinę, na której twarzy obok ironii malowała się pewna obrażona duma godności kobiecej i pogarda dla tego, który ją obraził. Z widoczną demonstracyą zanuciła półgłosem jakąś piosenkę i wyszła do swoich apartamentów.

Pani Aurelia prowadziła dalej rozmowę z młodym człowiekiem, który naznaczył sobie termin dwutygodniowy, aby znaleźć sobie towarzyskę i z nią się doczesnym ślubem na całe życie połączyć. Mimo jego protestu żartowała sobie z tego planu, chociaż to go widocznie gniewało. Zatrzymała jednak granicę miłej wojny, w której i przeciwnikowi nie bardzo źle było.

Inne wrażenie sprawiła ta rozmowa na cioci Klemusi i panu Ludwiku. Wesołość i zadowolenie malowało się na ich twarzach. Dolewali oliwy do ognia i śmiali się serdecznie, że ogień coraz wyżej sięgał. Wiedzeni jakiemś niejasnem przeczuciem, obawiali się ukrytej intrygi ze strony nowych krewnych, która im widocznie nie była na rękę. Przyjazd pana Marcina w towarzystwie Augusta i wyekwipowanie starego widocznie kosztem młodego, zdradzały pewne rozebrane między siebie role. To zaś co teraz słyszeli oboje, utrudzało widocznie wykonanie tych ról.

Bawiono się czas niejaki szermierką na temat dostarczany przez Augusta, który odcinał się jak zimny fechtmistrz, zręcznie nie ustępując ani na krok z zajętego terenu. Pani Aurelia zarzucała mu, ża w poglądach na życie jest wyrachowanym stoikiem, że poznać w nim technika, który życie tak samo chce nakręcać, jak każdą maszynę i który z tego powodu dozna wielkiego rozczarowania, co do zamiarów swoich. August przyjął to z zimnym uśmiechem młodego, zarozumiałego człowieka, który z pobłażaniem słucha pustych frazesów minionej epoki romantyzmu. Chciał już wstać i pożegnać się, widocznie tą rozmową znużony, lecz pani Aurelia zaprosiła go, by został na obiad, dodając, że przy obiedzie chce dalej nawrócenie niewiernego Szawła prowadzić. August przyjął rękawicę z ironią lekceważenia.

Po tych słowach odeszła pani Aurelia, aby się przebrać do obiadu a pan Ludwik zaproponował panu Marcinowi, że mu wskaże jego pokoik. W salonie został tylko August i ciocia.

Ciocia Klemusia miała teraz pole zbadać bliżej rodzinne i towarzyskie stosunki nowego krewnego. Dowiedziała się, że ojciec Augusta był administratorem cukrowni w majątku bogatego hrabiego X. a syn jego wykwalifikowany już technik był pomocnikiem technicznego dyrektora cudzoziemca, po którym miał objąć główną dyrekcyą. Ze względu na zasługi ojca. które go ongi ręki pozbawiły, był August u sędziwej wdowy w szczególnych łaskach, co jego pozycyi nadawało grunt pewny.

Mimo to, nie nadawał się bardzo do jej planów. Jeden z dalszych krewnych pociągnąłby innych za sobą, których pozycya nie byłaby dla państwa Ludwików stosowna. A nawet sam August mimo podstawy materyalnej, nie mógłby się dostroić do atmosfery, w której wychowała się i żyła pani Aurelia wraz z Janiną. Mógł to zrównoważyć tylko milion, który zawsze i wszystko przeważa, ale milionu nie było.

Przyjazd dwóch krewnych naraz, wydawał się jej także poderzanym. August tłomaczył to przypadkiem. Przypadkiem zjechali się w podróży i poznali. Ciocia Klemusia nie chciała wierzyć temu, wietrząc pewną zmowę. Różne pytania, jak sędzia śledczy, zadawała Augustowi, lecz August odpowiadał stylem lapidarnym i nie chciał się wcale powtarzać.

To utrudniało badanie i groziło nawet długą pauzą, gdyby cioci nie był nadszedł sukurs niespodziewany.

Do salonu weszła Janina.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

WIADOMOŚCI Z PARYŻA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Pomnik Hektora Berliosa. — Order legii honorowej, przyznany pani Dieulafoy. — Pani Forges, córka bohaterki.

Po długim spoczynku letnim, życie rozbudziło się w Paryżu i kipi jak zwykle w jesieni, księgarnie ogłaszają nowe dzieła, akademia otwiera podwoje dla nowych członków, ogłasza konkursowe nagrody, teatra przedstawiają nowe dramata i komedye. Do najważniejszych objawów zbudzonego życia, zaliszamy inauguracye pomników dla ludzi, którym dano było podnieść chwałę narodu swego. Dwóch takich wybrańców uczciła w tych dniach Francya, spiżowemi posągami. Pierwszy wzniesiono w mieście burgundzkiem Dijon, słynnemu rzeźbiarzowi Rudd, którego grupy pomieszczone na bramie tryumfalnej w Paryżu, przypominają światu wielką epopeę neapolitańską. Drugim pomnikiem Paryż uczcił sławnego kompozytora Berliosa.

Wspaniały ten pomnik, wzniesiony w lat ośmnaście po skonie artysty, na placu Vintimile, najsłuszniejszem jest zadosyć uczynieniem za dziwną obojętność, jaką mu ogół za życia okazywał.

Wprawdzie od pierwszego wystąpienia znawcy odgadli w nim mistrza, ale mała liczba prawdziwych znawców, nie porwała za sobą tłumu. Berlios przeszedł wśród swoich niepoznany. W początkach zawodu, piękną operę jego *Benwenuto Cellini*, wygwizdano w teatrze, po latach wielu tenże sam los spotkał inną operę, *Trojanie*, uznaną dziś za arcydzieło. Cudne symfonie, dziś gorącemi obsypywane oklaskami, najmniejszego nie budziły zajęcia. Bolał nad tem wielki kompozytor, serce jego wzbierało goryczą, wylewał ją w palących rozprawach krytycznych, chłostał i dyrektorów i publiczność, oskarżał o zawiść i zacofanie, czem rozdrażniał tem bardziej niechętne sobie umysły.

Umarł Berlios w rokt 1869. Wkrótce potem artyści urządzili wielki festiwal na cześć zmarłego, odegrali same jego utwory. Ogół przyklasnął z uniesieniem, odtąd sława mistrza rosła w cudowny sposób: zdobył po śmierci popularność, której próżno pragnął za życia.

Głównym powodem takiej obojętności, był oryginalny charakter kompozycyi Berliosa. Ogół nie dorósł jego miary, potrzeba było czasu, aby geniusz zatryumfował nad uprzedzeniem.

Literackie prace Berliosa, nacechowane zarówno piętnem samodzielnem jak i muzyczne jego kompozycye. W siedmiu drukowanych tomach, znajdujemy opis przejażdżki artystycznej po Włoszech i Niemczech, rozprawy o sztuce, zebrane z felietonów, drukowanych przez lat wiele w *Debatach*, nakoniec ciekawe pamiętniki i listy, ogłoszone po śmierci.

Tak w osobistych wspomnieniach, jak i w listach przebija wielka gorycz, a zarazem duma, świadomego swej siły zapaśnika, który, gdy innych zasypywano oklaskami, odbierał obelgi w nagrodę wytrwałych wysileń.

Jakoż życie Berliosa, od kolebki do grobu, zaciętą było walką. Miał lat dwadzieścia, kiedy ojciec, lekarz w Iseres, wyprawił go do Paryża na naukę medycyny.

„Ty wiesz — mówił surowy ojciec przy pożegnaniu — co ja myślę o miernych poetach. Mierni artyści w każdym rodzaju nie więcej od nich warci. Byłaby to dla mnie śmiertelna zgryzota i głębokie upokorzenie, gdybym cię miał widzieć w tłumie ludzi bezużytecznych!"

Młodzian poszedł jednak za wrodzonym popędem, poświęcił się muzycznem studyom. Pozbawiony wszelkiego zasiłku ze strony ojca, dawał lekcye muzyki po franku za godzinę. Mieszkał z przyjacielem na poddaszu w ubogiej części miasta; obiad jego składał się z chleba i garstki rodzenków lub suchych śliwek.

Miał lat dwadzieścia trzy, kiedy wystąpił po raz pierwszy do konkursu, o stypendyum rzymskie. Wiadomo, że Francya posiada w tem mieście własną szkołę sztuk pięknych, w której utrzymuje przez dwa lata najzdolniejszych uczniów. Kandydaci konkursowi, wyrabiają obrany przez siebie temat, w miejscu odosobnionem, otoczeni strażą, oderwani od wszelkich wpływów zewnętrznych. Praca uznana za najlepszą daje prawo do stypendyum. Berlios wykonał kantatę na temat z Orfeusza; nie otrzymał nagrody ani nawet pochlebnej wzmianki.

Niezrażony zawodem, wystąpił znów w roku następnym. Przysądzono mu drugi medal, ale stypendyum otrzymał inny, którego imię utonęło dziś w niepamięci. Toż samo powtórzyło się w roku trzecim. Wytrwały młodzian podał się do konkursu po raz czwarty. Było to roku 1830, w dniu 15 Lipca, zamknięto go w loży, w pałacu akademickim. Za przedmiot do kantaty, obrał ostatnie chwile Sardanapola.

Ukończył właśnie kompozycyą swoją, kiedy wybuchła rewolucya lipcowa, runął tron Karola X. „Pałac akademicki, zamieszkały przez liczne rodziny, dziwny przedstawiał obraz — mówi Berlios w pamiętniku.—Zbrojne tłumy, przedzierały się przez zabarykadowane bramy, kule armatnie wstrząsały kopułą, krzyk przerażonych kobiet rozlegał się po obszernym dziedzińcu, a w chwilach milczenia, pomiędzy jednym a drugim strzałem, jaskółki rozpoczynały chór sto razy przerywany. Kończyłem śpiesznie ostatnie stronice mojej kompozycyi, przy pogwiździe kul, które przebiegały po nad dachem i potrącały o zewnętrzną ścianę mej izdebki. Nakoniec 29-go wolny jak ptak wybiegłem z ciasnej klatki, pochwyciwszy pistolet całą noc szalałem z drugimi po Paryżu."

Sam przedmiot kantaty nadzwyczaj dramatycznej, zapalił młodego kompozytora. Z wielką potęgą oddał on scenę, kiedy Sardanapol zgromadziwszy na wielki stos wszystkie skarby, żony i niewolnice, ginie z niemi w płomieniach.

Pełna efektu orkiestracya, zwróciła uwagę sędziów konkursowych. Jednomyślnie przyznali artyście wielki medal, wraz z zasiłkiem na podróż do Rzymu.

Nastąpił publiczny popis w dniu 3 Października. Orkestra wykonała kantatę na posiedzeniu akademii sztuk pięknych. Opisał Berlios tę uroczystość z humorystyczną werwą, co połyska niekiedy w jego utworach, zaprawionych pessymizmem.

Maluje on zwykłą radość laureata, jak przeskakuje ławki, biegnie do prezydenta akademii, odbiera z rąk jego medal wraz z urzędowym pocałunkiem, jak kolejno ściska akademików, profesorów, a potem ojca, matkę, siostry i narzeczoną, dumną z jego tryumfu. On był sam, nie miał rodziców ani narzeczonej, musiał poprzestać na uścisku dyrektora akademii i stać się przedmiotem śmiechu dla widzów swoją kędzierzawą czupryną.

Popis odbył się w smutny sposób. Drugorzędny śpiewak, słabo oddał rolę Sardanapola, a co gorsza orkiestra całkiem zepsuła finał. W chwili kiedy Sardanapol płonie na stosie; otoczony niewolnicami, puzon nie daje hasła, cymbały milczą, efekt najzupełniej chybiony.

Berlios wściekły z gniewu, wydaje przeraźliwy krzyk, rzuca partycyą na głowy muzykantom.

Przed wyjazdem do Rzymu w pierwszych dniach Grudnia, wystąpił artysta z koncercem w sali konserwatoryumi. Szło mu głównie o rehabilitacyą Sardanapola po nieszczęśliwym popisie w akademii. Na ten raz wyborowa orkiestra wywiązała się dzielnie: puzon zadzwonił w danej chwili, cymbały uderzyły do taktu z walącym się stosem. Finał pełen efektu, wywował grzmot oklasków. Mało chwil takich liczył w życiu wielki kompozytor.

Od tygodnia wszystkie pisma paryzkie zajęte Berliosem. W jednym z nich czytamy ciekawy list do przyjaciela, znanego muzyka Erusta. Przytaczamy go jako malujący żywo zgryźliwy umysł zapoznanego artysty.

„Kochany przyjacielu, dziękuję ci za twój list, niecierpliwie oczekiwałem od ciebie wiadomości.

„Tyś nie umarł! to dobrze! Ja chory jestem z nudów. Obrzydł mi Paryż i tutajszy kołowrot, mam humor psi, radbym uciekać gdzieś daleko, a nie mogę ruszyć się z miejsca, muszę pisać feljetony.

„Ah! w porównaniu tej plagi, niczem wszystkie plagi egipskie. Cóż to za czas! ulewa wczorajsza o mało nie pozmiatała domów, a teraz znowu zimno. Głowa mnie boli. Przeklęty feljeton! Nie mogę go zacząć. Od tygodnia odkładam go z dnia na dzień, nie mam najmniejszego pojęcia o tem co będę pisał w narzuconym z góry przedmiocie. Co to za obrzydłe rzemiosło! Gdybyż gdzie znaleźć trochę słońca i spoczynku i być wolnym... nie myśleć o niczem! spać... nie słyszeć brząkania fortepianu, nie słyszeć co mówią o *proroku*, ani o elekcyach, ani o Rzymie, ani o książce Prudona! Patrzyć przez dym cygara na świat walący się w posadach, być głupim jak ośmnastu reprezentantów kraju.

„Mój drogi Eraście... radbym napisał coś bardzo... no i cóż bardzo?... (trzeba być bydlęciem aby zapowiedzieć epitet i nie znaleźć go w porę) chciałbym oto napisać list, któryby sprawił ci przyjemność, a widzę, że tego nie dokonam. Nie znajduję nic, nic i nic, tak samo jak do mego feljetonu.

„Wychodzę ponudzić się za domem, zanadto mi już nudno w domu.

„Przyjedź do Paryża, upijemy się razem, może to mnie zabawi. Ot wyborna myśl, sprobuję zaraz, jeżeli znajdę kogo."

P. S. „Rozważywszy rzecz, zaniechałem projektu, nie upiję się wcale, słaby jestem na głowę... Ale mój drogi, żałuj mnie, te feljetony mnie zabijają!"

Owe feljetony, z takim pisane wstrętem, ogromną mają wartość, otworzyły bowiem nowy widnokrąg krytyce muzykalnej.

(*Dokończenie nastąpi.*)

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Jeden z pielgrzymów do miasta mogił i katakumb w dzień zaduszny, zrobił trafną bardzo uwagę, że udający żywych idą odwiedzać tych, którzy udają umarłych.

Za prawdę nie jest to próżna słów igraszka.

Żywych co obumarli na wszystko i żyjących tylko dla siebie, niemała między ludźmi gromada i kto wie czy nieprzemagająca.

Ot niewiele szukając, w Gazecie niemieckiej wychodzącej w Stanach Zjednoczonych Ameryki w Panama, pomieszczono artykuł o Polakach tak pełen bredni i gadaniny bez ładu i składu, że mimowoli nasuwa się przypuszczenie, iż autor pisał go w gorączkowem majaczeniu w chwili ostatniej swego żywota.

Polacy wobec polskości, powiada autor w artykule tak zatytułowanym, Polacy jest to naród, którego kolebką jest Azya i należał kiedyś do szczepu mongolskiego. Podczas wędrówki ludów, przybył on w okolice przez Germanów zamieszkałe, a wymordowawszy tychże, przywłaszczył sobie te ziemie. Główne cechy, jakie Polaków odznaczają, jest barbarzyństwo, uporczywość i niewdzięczność wobec swych dobroczyńców. Nie są oni jednak tak głupimi, za jakich ich uważamy, (no, proszę, ktoby się spodziewał!) owszem, posiadają wielki spryt i potrafią każdego, który się tylko zbliży, ująć w swe sidła i pozyskać dla sprawy, którą oni zwią „świętą".

Aby dać próbkę, jak umieją się wywdzięczać za otrzymane dobrodziejstwa, przytoczymy przykład z ich własnej historyi.

Polska za ostatniego króla stała bezrządem, nie było żadnego prawa, a głód i nędza dawały się we znaki mieszkańcom. Ówczesny król pruski zlitował się nad Polakami i porozumiawszy się z Rossyą i Austryą, przyłączył jak ojciec pewną część tego kraju do swego państwa, aby ich od śmierci głodowej uratować. (!) A jakże oni się nam wywdzięczyli? Oto rewolucyami i pogardą dla niemieckiego narodu. Nienauczony tem smutnem doświadczeniem rząd niemiecki, ulitował się jeszcze raz nad nimi. Książę Bismark, widząc, że pomiędzy nimi znów się rozpowszechnia bieda, rozkazał wydalić kilkanaście tysięcy Polaków obcych, którzy żyli tylko z łaski swych ziomków, z granic państwa pruskiego, aby Polaków poddanych pruskich od tych pasożytów uwolnić i zaoszczędzić im wydatków. Polacy znów nie uważali tych dobrodziejstw i zaczęli w niebogłosy krzyczeć, że ich rząd prześladuje. Ponieważ poddani pruscy pochodzenia polskiego są na pół barbarzyńcami, rząd chciał ich oświecić i zaprowadził im szkoły w którychby się pięknej, niemieckiej mowy nauczyć mogli, a czyż Polacy umieli to dobrodziejstwo ocenić? Gdzież tam, znów zaczęli zanosić skargi przed cały świat, że ich chcą wynarodowić. (!) Szlachta polska zubożała przez własne zbytki, nie miała nawet komu sprzedać swej ziemi, rząd pruski chcąc ją uratować od zguby, postanowił tę ziemię zakupić, aż tu znów rozpoczęły się narzekania, że

Niemcy chcą Polaków wynarodowić, i tak się dzieje bez końca.

Im więcej Niemcy Polakom dobrodziejstw (!) świadczą, to tembardziej ich ci nienawidzą. Czasby już było położyć tym łaskom koniec, zwłaszcza, że z tego powodu dla narodowości niemieckiej może wyrość niebezpieczeństwo. Polacy mają jąkąś dziwną siłę przyciągania ku sobie, a zatem jeżeli rząd pruski na zakupionej ziemi od Polaków osadzi Niemców, to ci będą straceni dla Niemiec, bo otoczeni dokoła polskim żywiołem, staną się Polakami i będą nas tak samo nienawidzili jak plemię polskie. Jest to pewnikiem, że Polaków ani ucywilizować, ani wiernymi poddanymi zrobić nie można; będą oni nam zawsze stawiali przeszkody i łączyli się z nieprzyjaciołmi Niemiec; dlatego też najlepiejby było, aby rząd niemiecki oddał prowincye polskie Rossyi lub Austryi, albo też, aby zostawił samym sobie. Nie trzeba żałować Polaków! Kiedy nie umieją szanować dobroczyńców to niech sobie giną!"

W Wołoce pod Czerniowcami, solenne poświęcenie źródła Sobieskiego, jako pomnika pamiątkowego, zbudowanego przez włościanina z Wołoki, Teodora Koczę, odbyło się w końcu zeszłego miesiąca.

Źródło znajduje się w bardzo romantycznej, leśnej okolicy i jest z wielkim gustem na kształt rzymskich cystern z basenem z kamienia zbudowane. Obok źródła na podwyższeniu znajduje się pomnik Sobieskiego, składający się z dużego obrazu Kossaka, ujętego w piękny i gruby pień dębowy, a przedstawiającego Sobieskiego pod Wiedniem. Po nad tem skromny krzyż dębowy z cierniową koroną. Do pnia dębowego jest przymocowany starożytny miecz, znaleziony w okolicach źródła, jako pamiątka obozu Sobieskiego, który, według tradycyi, w tychże okolicach się znajdował. O tenże pień dębowy oparta jest duża księga dębowa na kształt tablic Mojżesza, a w niej umieszczony następujący napis w języku polskim, ruskim i rumuńskim:

„Z tego źródła pił wodę przesławny król polski, Jan III-ci Sobieski, który w tych lasach w roku 1685, z wojskiem swojem przeciw Turkom i Tatarom obozował, który przy pomocy Bożej Turków i Tatarów gromił i biednych chrześcian od niewoli i zatraty tureckiej ratował, który dostojnym dziadom cesarza Franciszka Józefa I-go, przeciw Turkom pomagał i cały Wiedeń od strasznej niewoli tureckiej w roku 1683 oswobodził.

„Na chwałę Bożą i na wieczną pamiątkę tego przesławnego króla, wybudował tę studnię Teodor Kocza, gospodarz z Wołoki".

Kolonia polska na wyspach Samoa składa się przeszło z 40 osób, oddanych przeważnie hodowli kokonów. Ponieważ wyspa cała jest jakby zadzierżawioną przez Niemców, więc trudno tam jest przyjść do posiadania ziemi. Pomimo to, rodacy nasi nabyli nieco gruntów od Anglików i na nich jedwabnictwo uprawiają. Stosunek pomiędzy członkami kolonii, ułatwia kościół katolicki, w miejscowości zwanej Apia. Zwłaszcza, gdy zawita jakiś kapłan polski z Nowego Jorku, co się raź do roku zdarza, wszyscy wówczas przybywają na spotkanie go i wysłuchanie kazania w ojczystej mowie. Ze względu na zawiść niemiecką w handlu, rodacy nasi nie łączą się z tym żywiołem i należą do gminy amerykańskiej. Na parafii znajduje się puszka, a fundusz z niej obracany bywa na zakup książek polskich do nabożeństwa i prenumeratę jednego z pism ludowych poznańskich.

„Manchester Guardian" donosi, że w miejscowych fabrykach, wedle statystyki pierwszego półrocza r. b., pracowało przeszło 300 robotników polskiego pochodzenia. Kościół katolicki tamże posiada dla nich oddzielnego kapłana, mówiącego po polsku.

Uroczystość odsłonięcia wielkiego posągu Wolności w Nowym Jorku, o którem już w krótkiej wzmiance donosiliśmy, odbyła się śród mgły i deszczu. Niepogoda jednak nie ujęła nic świątecznemu charakterowi narodowej uroczystyści; niezliczone tłumy zgromadziły się w porcie nowojorskim; z prowincyi przybyło przeszło 100,000 osób. Na główniejszych budynkach, oraz na okrętach w porcie powiewały flagi, śród których przeważał trójkolorowy sztandar Rzeczypospolitej. Program uroczystości obejmował między innemi wielki korowód różnych instytucyi cywilnych i wojskowych, oraz paradę okrętów. Prezydent Cleveland otoczony amerykańskiemi i francuzkiemi dygnitarzami, przyglądał się korowodowi, w którym wzięło udział 30,000 osób, z wysokości specyalnie w tym celu wzniesionej trybuny. W paradzie na morzu przyjęło udział 200 okrętów; po skończonej rewii statków, prezydent z otoczeniem swojem udał się na wzniesioną na Bedloe Island, przybraną girlandami i trójkolorową chorągwią trybunę. Najpierw odmówiono modlitwę, następnie Ferdynand Lesseps wygłosił mowę, której główną treść stanowił stosunek Francyi do związku amerykańskiego, a po przemowie byłego sekretarza stanu, Evartsa, posąg został odsłonięty. Śród nieprzejrzanego tłumu rozległo się głośne „hurra!", muzyka zabrzmiała, lecz i okrzyki i dźwięki zagłuszone zostały salwami, któremi 500 armat w fortach i na okrętach wojennych, przywitało olbrzymi posąg. Poczem prezydent Cleveland przyjął urzędowo posąg, jako dar, ofiarowany narodowi amerykańskiemu, następnie przemówiło jeszcze kilku Francuzów, a właściwą mowę okolicznościową wygłosił p. Chauncey Depew. Uroczystość zakończona została aktem religijnym.

James Carman złodziej z powołania, skazany ostatniemi czasy na więzienie w stanie New Jersey, w Ameryce, był bohaterem romantycznej historyi. Tego lata, Carman, „artysta" w kunszcie wyłamywania zamków, porozumiał się ze swymi kolegami w celu dopełnienia kradzieży na wielkie rozmiary w miasteczku Flemington. Ażeby rozpoznać, gdzie najlepiej „interes" powieść się może, Carman używał zwykle oryginalnego sposobu... Starał się wejść w towarzyskie stosunki z jakim zamożnym domem, gdzie była panna na wydaniu.

Carman, który jest młodym i przystojnym mężczyzną i umie grać rolę poczciwego człowieka, uczynił tak samo i w Flemington. Zaprezentował się córce jednego z najzamożniejszych obywateli tamtejszych, zaczął bywać w domu rodziców a pozyskawszy uczucia panny, prosił o jej rękę i został przyjęty.

Podczas tych konkurów kilka kradzieży wydarzyło się w mieście u bogatych kupców, jednak po każdej takiej kradzieży, Carman starał się parę dni z rzędu spędzać w Flemington, przy swojej narzeczonej, aby nikt nie mógł go posądzić, jego, który był przyjmowany przez tak zacną i znaną rodzinę. Ale cóż się dzieje? nędznik zakochał się rzeczywiście, pomimo swojej woli, w osobie, która miała być tylko narzędziem jego zbrodni!

I tu następuje ekspiacya: Carman zostaje pochwycony na gorącym uczynku kradzieży a chcąc się salwować, strzela z rewolweru do jednego z policyantów, zadaje mu ranę i byłby może zdołał umknąć, ale uciekając wpadł do rowu, zwichnął nogę i został ujęty.

Nazajutrz rano, całe miasto wiedziało, że zbrodniarz ujęty w nocy, był to narzeczony najładniejszej i najbogatszej panny w mieście.

Ta ostatnia dowiedziawszy się o wszystkiem, mało nie umarła ze wstydu i żalu, bo szalenie kochała narzeczonego... Jednak, odesłała mu jego listy i pierścionek zaręczynowy, zapowiadając, że wszystko między nimi zerwane.

Co do Carmana, ten zdaje się więcej był wzruszony tym listem niż swoją karą, czytając go, płakał jak dziecko. Odpisał narzeczonej, przyznając się do wszystkiego, zapewniając ją, że miłość nawróciła go zupełnie i obiecując, że jeżeli tylko zechce czekać aż odsiedzi więzienie, on złoży dowody swej całkowitej poprawy.

Każda inna, nie amerykanka, nie chciałaby nawet czytać tego listu, ale panna o której mowa, inaczej podobno postąpiła. Nietylko list przeczytała, ale podejrzywają, że ma zamiar pozostać wierną narzeczonemu, którego pomimo wszystkiego kocha jeszcze.

ROZMAITOŚCI.

Fiołki jako symbol bonapartyzmu.

Pewne pisemko ulotne z roku 1815, wyszperane obecnie przez „Figaro", opowiada, jakim sposobem to się stało, że fiołki uchodzą za symbol bonapartyzmu.

Na trzy dni przed odjazdem Bonapartego na Elbę (mówi to pismo), przechadzał się on w towarzystwie ks. Bassano i generała Bertranda po ogrodzie w Fontainebleau. Książę Bassano usiłował go przekonać, że nie ma czasu na wahanie się. Napoleon był mocno rozdrażniony, ale milczał, przemyślając nad sposobem zwrócenia rozmowy na inny przedmiot. Nagle obaczył miluchne dziecię, zajęte zbieraniem fiołków.

— Mój chłopczyku — zawołał — czy dałbyś mi twoje kwiatki?

— I owszem — odparł czteroletni malec, podając Bonapartemu wiązankę fiołków.

Napoleon ucałował dziecię, a odwróciwszy się do swych dworzan, rzekł:

— Przypadkowe to spotkanie jest wskazówką dla mnie, abym odtąd ów kwiat naśladował. Tak, panowie, fiołek jest teraz symbolem moich myśli i życzeń.

— Sire! — przerwał mu Bertrand — w interesie sławy waszej cesarskiej mości, ośmielam się mieć nadzieję, że postanowienie to nie przetrwa kwiatu, który je natchnął.

Nazajutrz widziano Bonapartego z bukiecikiem fiołków, trzymanym w ręku lub w ustach. Obok jednej grządki zatrzymał się i począł zbierać wonne kwiatki; było ich w tem miejscu mało, więc

grenadier Choudieu, stojący nieopodal na posterunku, przemówił:

— Sire, za rok będzie ich tu więcej.

— A czy sądzisz, że i ja tu za rok będę? — zapytał Napoleon zdumiony.

— Kto wie, może nawet prędzej! Tak przynajmniej się spodziewamy.

— Ale czyż nie wiesz, że jutro rano odjeżdżam na Elbę?

— Wasza cesarska mość pozwala, żeby burza przeciągnęła?

— Czy twoi towarzysze myślą podobnie jak ty?

— Wszyscy, co do jednego.

— Wolno im myśléć, tylko niech tego nie mówią głośno... Po warcie udaj się do Bertranda i każ sobie wypłacić dwadzieścia luidorów, ale milcz!

Choudieu, powracając do strażnicy, zwrócił uwagę swych towarzyszów na to, że cesarz prawie nie wypuszcza z ręki bukiecika fiołków.

— Nazwijmy go — rzekł — między sobą *Père la violette.*

Od tego dnia był Napoleon znany pod tem nazwiskiem we wszystkich koszarach. Tajemnica rozeszła się zwolna także i między publicznością, a zwolennicy ex-cesarza nosili w butonierce fiołki, jako oznakę.

Z dziedziny humorystycznej.

We Lwowie niedawno na jednym z koncertów niedzielnych Annety Essipow było publiczności jak nabił, głowa chwiała się przy głowie a upał tak się wzmagał, że obawiano się, aby salon lada chwila ogniem nie zapłonął. Z roztwarciem drzwi w różnych kierunkach, ochłodziło się cośkolwiek. W pierwszym rzędzie krzeseł, siedzący niejaki Kohn ożywczem owiany powietrzem zdrzemnął się, połowica nos utopiła w programie i także miała wielką ochotę zbratać się z Orfeuszem.

W tem naraz koncertantka przeszła w grze do fortissimo: Kohn ocknął się, Kohnowa otrzeźwiała.

— Co ona gra? — zapytał Kohn małżonki.

— Sza, Kohn! — odrzekła zapytana, zasłaniając usta programem.

Pan Kohn skrzywił się i zaczął rozważać, dlaczego ma być sza! kiedy w zapytaniu jego nic nie było niemądrego?

Nim rozwiązał tę ważną kwestyą, zagrzmiały oklaski, pan Kohn nie zaniedbał powiększyć ich grzmotliwego hałasu, pani Kohnowa jedną rączką uderzała o wahlarz, a drugą zasłaniała usta otwierające się jej w ziewaniu tak straszliwie od ucha do ucha, że zdawało się, iż to przepaść, w której zginie koncertantka wraz z publiką, estradą koncertową i z najukochańszym jej małżonkiem Kohnem.

Uciszyło się wreszcie i przepaść zniknęła a pan Kohn korzystając z przerwy, zasłaniając usta i oglądając czy go kto nie podsłuchuje, zapytał żony tajemniczo:

— Co ona grała takiego?

— Sza, Kohn! — odrzekła małżonka z niecierpliwością.

— Co to jest sza i sza? — zawołał Kohn w największem rozdrażnieniu. — Za co ty mi gadasz sza i sza? Czy to ja jaki głupi co nie wiem co mówić?

Małżonka w miejsce odpowiedzi, podsunęła mu program pod oczy i wskazując numer w kwestyi będący, rzekła:

— Czytaj Kohn, żebyś poznał jak ty głupi!

W programie stało wydrukowane: Liszt — Sgambatti — Chaconne.

* * *

Jeden z dzienników londyńskich, chcąc przysporzyć sobie abonentów ogłosił, iż prosi publiczność o zadawanie mu różnych pytań, na które będzie odpowiadał. Wezwanie to dało nadspodziewany rezultat, pytań nadeszła moc nieprzeliczona, ale między niemi i mnóstwo takich, któreby nawet i Salomona w kłopot wprawiły. I tak np. ciekawy jakiś syn Albionu pyta się: „Jak się nazywa najstarszy mieszkaniec Pekinu?" Inny znów ciekawy jest wiedzieć: „Ile jest kamieni brukowych w Londynie?" To znów: „Czy zmarli, których ciała są spalone, także zmartwychwstają?" Albo: „Kto był pierwszym szewcem Wilhelma zdobywcy? W jakim stopniu pokrewieństwa stoi Gladstone do Kaina i Abla? Jak się nazywała praczka babki Poncyusza Piłata? Jak często cierpiał Juliusz Cezar na ból zębów?" i t. p.

* * *

— Mój aniele, czy nie wyjdziesz z domu? — pyta mąż żony ze słodkim uśmiechem.

— Nie, mój drogi.

— To ja się przejdę.

— Będę ci towarzyszyć...

— Oh! to zostanę, odpowiada mąż, z nosem na kwintę spuszczonym.

* * *

— Czy wiecie, że Anielka wychodzi za starego, coby jéj dziadkiem mógł być prawie.

— Ale bogaty, a ona biedna, wzajemnie więc dopełnią się i będzie zupełna harmonia.

— Aleć ten człowiek nie ma jednego włosa na głowie, a w ustach brak mu wszystkich zębów,

— I to harmonii przysporzy, bo ona ma włosy do ziemi prawie spadające, a ząbki tak ostre, że wystarczą dla nich obojga.

— Jeżeli tak, to będą szczęśliwi.

— Naturalnie, harmonia zupełna.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Sw. od G. Nadesłane wierszyki jako zbyt osobiste treścią nie są odpowiednie zarówno dla Przyjaciela Dzieci, jak Tygodnika. Może znajdą się inne, to Przyjaciel prosi o takowe.

P. K. Udy. w Stawiszczach. Pisma zostały zaprenumerowane, pozostałe kop. 50, oddano bardzo biednej Staruszce głuchej, bezsilnej i bez żadnych środków utrzymania zostającej.

Pa. M. S. w Piotrkowie. Wierszyki dwa będą właściwie użyte: pierwszy zanadto egotyczny.

OD REDAKCYI.

☞ **Tom piąty seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:**

MISYA FAMILIJNA.

OPOWIADANIE.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom **kop. 60**; za tomów 12 **rs. 7 k. 20**

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom **kop. 70**; za tomów 12 **rs. 8 k. 40**

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom **rs. 1 k. 20**; za tomów 12 **rs. 14 k. 40**

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom **rs. 1 k. 50**; za tomów 12 **rs. 15 k. 60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Chmielna Nr 26 nowy.

ZAWIADOMIENIA.

BIURO KAUCYONOWANE rekomendacyi Guwernerów, Guwernantek i Bon, Eugenii Hennel, dawniej Heleny Dąbrowskiej. Krakowskie-Przedmieście N-r 79, mieszkania N-r 28. (Dom SS. Piotrowskich, Pasaż Roeslera.)

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 46 wyszedł z druku i zawiera:

Kilka słów o Arabii i Arabach (z drzeworytem). — Wiek dziecięcy (wiersz). — Książę i biedak. — Napady tatarskie (z drzeworytem). — Opowiadanie Cioci Ludy. — Syn kmiecy. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Z pamiętników wędrowca (z drzeworytem). — Straszna pałeczka (wiersz). — Dobra wola. — Piękny uczynek (wiersz). — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Октября 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.

Opis do N-ru 46.

N. 1. Paletocik długi dla panienki lat 10—12.

Paletocik którego model odrobiony był z materyału *floconné*, łatwo można podług zwykłej paletocikowej formy dopasować tylko do plecków 9 cent. poniżej wcięcia w pasie trzeba dodać bryt 70 cent. długi, złożony w 5 cent. głębokie, odstające fałdy. Sznurowa szmuklerska agrafa zapina i obciska w pasie luźne przody. Ranwersy, kołnierz stojący z tyłu w ząb zakończony i mankiety, są z pluszu z długim włosem; ranwersy zdobi pasmanterya ze sznura, odpowiednia do agrafy.

N. 2. Płaszczyk z pelerynowemi rękawami, obłożony futrem. Forma i widok pleców na dodatku z formami N. XVI fig. 85—88.

Na fig. 85 dajemy mały model kroju płaszczyka paletocikowego wpadającego do figury; przy krajaniu pleców dodaje się materyał na fałdy założone do spodu; na fig. 86—87 podana jest w naturalnej wielkości forma pelerynowych rękawów, które przy wykroju szyi i na ramionach, dopasować trzeba podług płaszczyka i zeszyć z nim podług odpowiednich znaków. Naszycie na plecach zwierzchniej części peleryny, oznaczone jest linijką na fig. 86, pierwej jednak brzeg jej dolny, dwukropkiem do dwukropka wywinąć. Model płaszczyka odrobiony był z włochatego materyału w kolorze granatowym, na podszewce flanelkowej, tylko części pelerynowe i bryt tylny fałdowany podszyte były czarnym lekko podwatowanym atłasem. Kołnierz i obłożenie peleryny były z imitacyi bobrów.

N. 3 i 26. Suknia z draperyą fartuszkową. Krój na dodatku z formami N. XXIV fig. 116.

Widoczna z pod draperyi część spódnicy pokryta była gładkim dyagonalem składanym w 13 cent. szerokie, plisowane fałdy; tylko z lewego boku dane były trzy podwójne, plisowane fałdy, trzymające razem 42 cent., które widzimy na ryc. 3. Pod przednią fałdę podchodzi boczny bryt dolnej węższej części draperyi, przyfałdowany do 55 cent. długości, gdy wystająca szersza część górna, sfałdowana do 14 cent. zachodzi na fałdy do tyłu. Górny brzeg zaokrąglony i sfałdowany podług znaków wszywa się w pasek, górną część prawego brzegu podszywa się i wykłada na ranwers, podług cieniowania linijkami. Tylną draperyę *b* w górnym zaokrąglonym brzegu, składa się na środku w kontrafałdę 9 cent. szeroką, a resztę w zachodzące jedne na drugie fałdy plisowane, a brzegi boczne podług znaków lekko podpiąć i do spódnicy przyczepić. Z pod oddzielnie podszytych przodów stanika z baskiną, podszewka przodów kamizelkowo pokryta i na kryte haftki zapięta, wygląda w środku i u dołu na 4 c. szerokości. Przy ranwersach, mankietach i baskinie stanika, dane podwójne wypustki z materyi vieil-or przy sukni z gładkiego brązowego i w żółtą kratę dyagonalu.

N. 4. Koszyczek do robót ozdobiony haftem.

Okrągły koszyczek pleciony ze trzciny, mający 30 c. wysokości a 80 cent. obwodu, aż do złoconych 5 cent. wysokich nóżek pokryty jest wewnątrz pół jedwabnym, przymarszczonym materyałem koloru bordo, a z wierzchu fularem jedwabnym blado żółtym, w centki zielone i różowe, ułożonym w kontrafałdy. Zwierzchnie pokrycie przedzielone jest trzema klinami z pluszu bordo, mającemi $7^1/_2$ cent. środkowej a 15 górnej szerokości. Brzeg koszyczka i wieczka objęty jest 5 cent. szeroką wypustką pluszową. Wieczko pokrywają naprzemian trzy kliniaste części pluszowe i trzy takież części z bastu kiprowanego, ozdobione łatwem wyszyciem robionem kolorowemi jedwabiami.

N. 5—6. Futerał na lornetkę teatralną.

Rycina 5 przedstawia futerał na lornetkę, 8 cent. wysoki z wiekiem 10 cent. wysokiem w którem umieszczony jest woreczek z zamkiem i obrączką niklową do założenia na rękę. Woreczek i futerał pokryty jest pluszem kolorowym a podszewkę ma atłasową; wierzch zdobi malowanie złotem w guście japońskim. Ryc. 6 przedstawia futerał pluszowy formą woreczka, ozdobiony złotem haftowanym monogramem.

N. 7—9. Szlak robiony na kanwie kongresowej. Haft gobelinowy i kratki.

Szlak 42 cent. szeroki mogący służyć na przykrycia do mebli, na serwetę na środek nakrytego stołu i t. p. haftowany był kolorową bawełną i złotą nitką na żółtawej kanwie kongresowej. Ryc. 8 przedstawia w naturalnej wielkości szlak brzeżny, a ryc. 9 szlak środkowy, a zarazem wskazuje dokładnie sposób roboty i grubość kanwy; na ryc. 7 widzimy w zmniejszeniu całość połączonych szlaków. Środkowe figury środkowego szlaku obwiedzione są dwoma paskami brązowemi, z których zewnętrzny ciemniejszy, zakończony jest czarnemi stębnowanemi ściegami. Środek zapełniony jest bawełną żółtawą, łososiowego, oliwkowego i czarnego koloru, których rozdział i grubość bawełny wskazuje rycina 9; poprzeczne brzegi robione są nitką złotą. Dalej następuje pas z niezarobionem tłem kawy, na którym figury wyszyte są takiemi jak środkowa kolorami; poczem następują dwa paski brązowe, zrobione w odwrotnym układzie cieniów i części środkowych figur, robione kolorem oliwkowym, łososiowym i czarnym, w tych poprzeczne ściegi są czarne w miejsce złotych. Teraz następują pasy kratek robione na nitkach wyciągniętych w kanwie, bawełną nie bieloną; na wązkie paski wyciągnąć trzeba nitek 6, a na szeroki 24. Po brzegach kratek są szlaczki z piętnastu nitek kanwy, na których pomiędzy dwoma prążkami, jedną jasną drugą ciemniejszą niebieską, dane wyszycie bawełną szamoa i centki czarne. Nad temi szlaczkami wyszyte są jako zakończenie gałązki przedzielane trójkątami, te ostatnie robione są kolorem czarnym i dwoma cieniami brązowemi. Gałązki mają raz pręciki i środkową figurę oliwkową z czarnem a boczne liście łososiowego koloru z czarnym środkiem, drugi raz środkowe figury są łososiowe z żółtawym środkiem a liście oliwkowe. Złote poprzeczne ściegi ożywiają trójkąty i gałązki.

N. 14. Paletot z podwójnym ranwersem, dla panienki lat 10—12. Krój i widok pleców N. XVIII fig. 95—99.

Paletocik przedstawiony z tyłu na fig. 99, odrobiony był z grubego zimowego materyału; ozdobę stanowił gruby sznur jedwabny i duże, metalowe guziki. Przody przykrojone razem z ranwersem i podszyte jedwabną podszewką, są z jednej strony wywinięte a z drugiej na wierzch założone w ten sposób, iż tworzą ranwers podwójny, jednym guzikiem zapięty. Fałdy pleców zakładane są pod spód. Szeroki wykładany kołnierz i mankiety z wierzchu rękawa otwarte, pokryte są materyą nie dochodzącą do brzegu i oszyte jedwabnym sznurem.

N. 15. Paletocik z kapturkiem dla chłopczyka lat 7—9. Krój i widok pleców na dodatku N. VIII f. 44-51.

Model paletocika odrobiony był z jasnej z brązowym kolorem mięszanej, imitacyi baranków krymskich. W kapturek dana jedwabna jasno bronzowa podszewka w drobne prążki lub kratkę. Przody szeroko jeden na drugi zachodzące zapinają się na dwa rzędy guzików; w kołnierz daje się klejonkę, do której podszewka jest w pasy przystębnowana. Luźne plecy zapięte są z tyłu na patki 14 cent. długie a 4 cent. szerokie. Kapturek uszyty oddzielnie, przypina się na haftki pod kołnierzem.

N. 16 i ryc. 47 w N. 47. Sukienka formą paletocikową, dla chłopczyka lat 2—4. Krój na dodatku N. XXI f. 109-113.

Sukienka połączona z paletocikiem, zrobiona była z brązowego lodenu na flanelkowej podszewce i ozdobiona pletnią $3^1/_2$ i 5 cent. szeroką. Długi stan dopełnia podszyta od spodu spódniczka, mająca 168 cent. obwodu a 19 cent. długości. Gładkie podszewkowe przody na środku zapinane na płaskie guziki, pokrywa się zwierzchnim materyałem tylko do cienkiej linijki, danej na fig. 109, środek pokrywa część kamizelkowa w szeroką kontrafałdę złożona, z boku zapięta. Do zwierzchnich przodów od liczby 30—31 przyszywają się ranwersy (fig. 113) pod któremi przeciągnięty jest pasek z szerokiej pletni spięty z przodu kokardą. Formę marynarskiego kołnierza dajemy na fig. 112. Patki kieszeniowe w ząb ścięte, ozdobione pletnią, mają 111 c. szerokości a 110 środkowej wysokości.

N. 17—18. Suknia z paletocikowym stanikiem dla dziewczynki lat 4—6. Krój na dodatku z formami N. VII fig. 38—43.

Model odrobiony był z materyału wełnianego piaskowego gładkiego i przerabianego w kratę lub paski czerwone i niebieskie. Plastron z boku zapinany, układa się na gładkiej podszewce, na środku w podwójną 9 cent. szeroką kontrafałdę; przyszycie ranwersu oznaczone jest cienką linijką na formie. Podszewkową spódniczkę 36



N. 1. Paletocik dla panienki lat 10—12. N. 2. Płaszczyk na futrze z pelerynowemi rękawami. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 85—88.

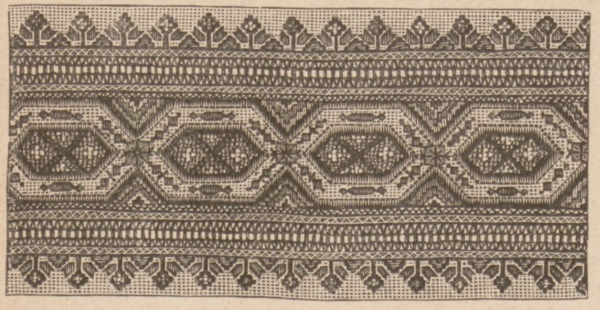


N. 4. Koszyczek do robót.

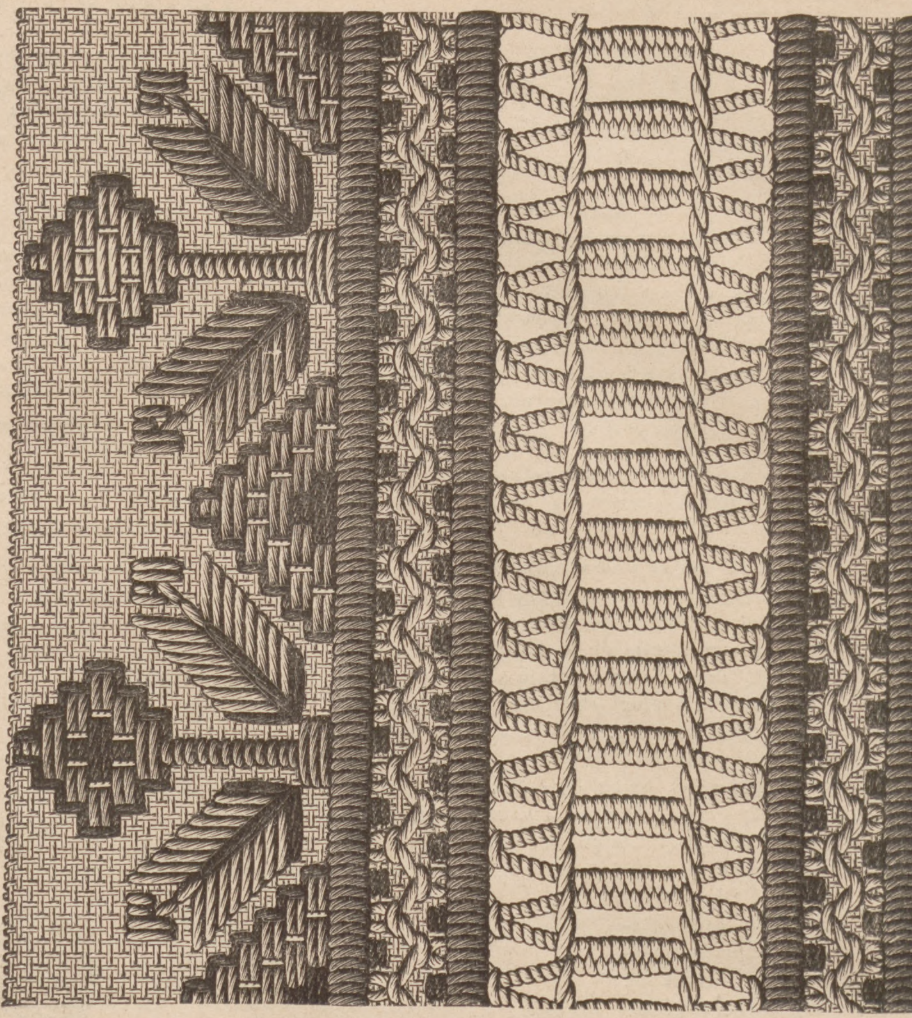
cent. długą a 136 cent. szeroką, pokrytą wolantem 315 cent. szerokim, ułożonym z przodu w kontrafałdy a z tyłu sciśle zmarszczonym, przyszywa się od spodu do stanika, poniżej wcięcia w pasie. Dwa końce szarfy 37 cent. szerokie, 50 i 40 cent. długie, wysiepane na frendzlę 8 cent. szeroką, przyszywa się pod fałdą spódniczki z obydwóch stron plastronu i przerzuca z przodu na węzeł, a jeden koniec 46 cent. szeroki a 140 długi, upięty w pukiel i koniec, zdobi spódniczkę z tyłu.

N. 20 i 12. Paletot długi z fałdami. Krój N. III fig. 15—25.

Model do ryc. 20 odrobiony tył z brązowej etaminy w kratę takiegoż koloru, na lekko watowanej atłasowej podszewce; do przybrania służył plusz brązowy i guziki z wytłaczanej skóry. Na fig. 15 dajemy formę gładkiej podszewki, a cienka linijka oznacza ilość zwierzchniego materyału dodaną na podwójną, 10 cent. szeroką kontrafałdę daną na prawej na wierzch zachodzącej połowie przodu. Przy lewej połowie dodaje się na kontrafałdę, dopiero 2 cent. poniżej wcięcia w pasie do dołu. Pod szyją płaszczyk zapina się na guzik i dziurkę obrobioną w fałdzie, a dalej na kryte haftki. Otwory do kieszonek przecięte tylko w zwierzchnim materyale, przykrywa patka aksamitna (fig. 20), kieszeń wszywa się pomiędzy wierzch i podszewkę. Rękawy fig. 18, trzeba w zwierzchniej i spodniej połowie, równo od gwiazdki do dwukropka przymarszczyć i wszyć w pasek atłasowy 1 cent. szeroki a 20 cent. długi. Na fig. 19 dajemy formę mankieta podszytego atłasem, których brzegi zachodzą jeden na drugi, a które dwukropkiem do dwukropka, przyszywa się na rękawie. Pasek pluszowy 5 cent. szeroki wszywa się między szwy boczne.



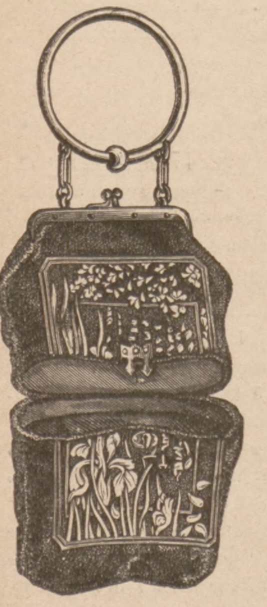
N. 7. Szlak ściegiem gobelinowym, z kratką ażurową. Patrz ryc. 8—9.



N. 8. Szlaczek z kratki ażurowej do ryc. 7. Patrz ryc. 9.

N. 21. Okrycie wieczorowe formą burna. Krój i widok przodu N. XII fig. 62—63.

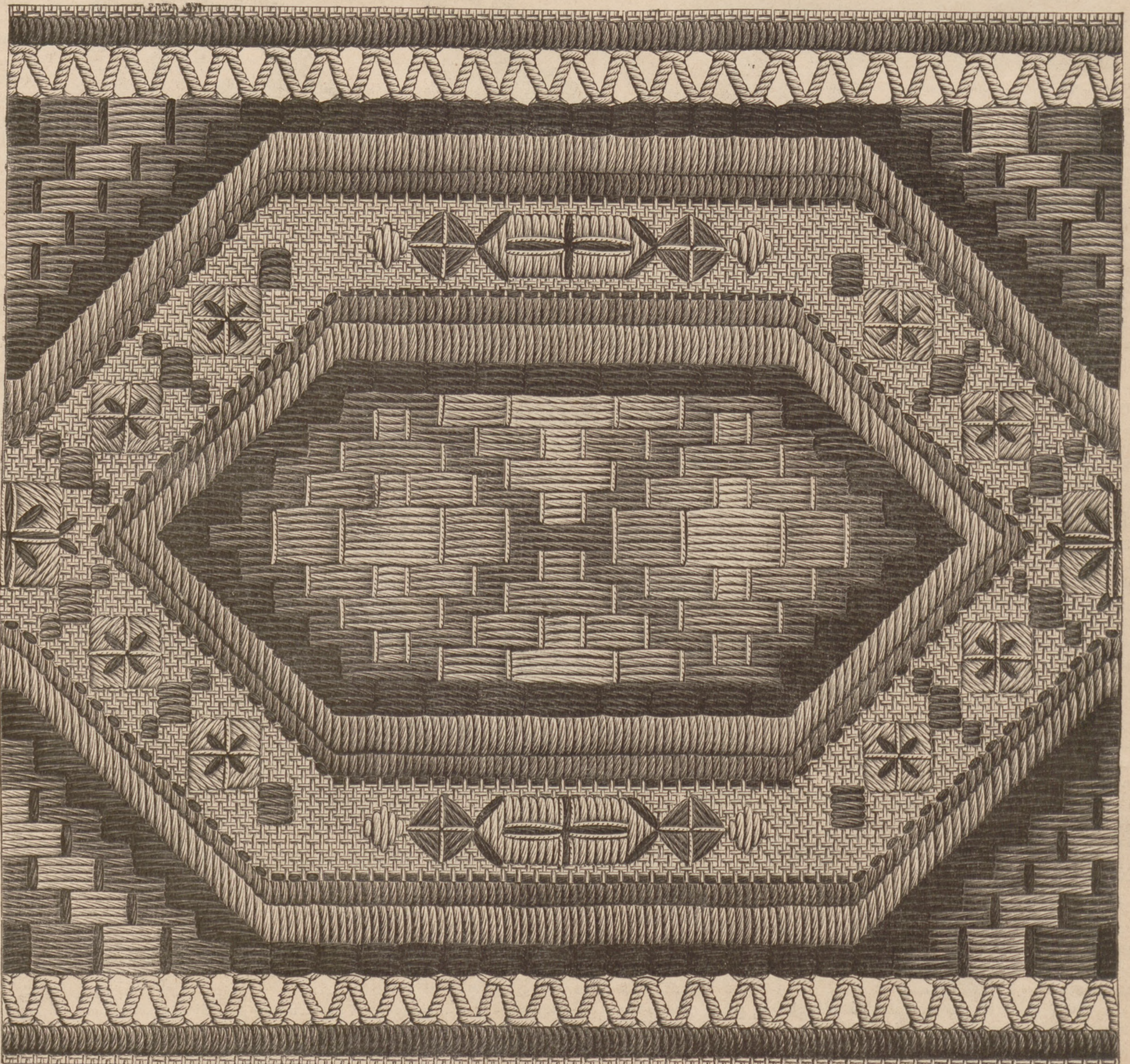
Na fig. 62 dajemy mały model kroju i miary burnusa stanowiącego dogodne wieczorowe okrycie. Szew z tyłu wcięty od 1 do 52, zeszywa się od gwiazdki do dwukropka, a dalej zostawia otwar-



N. 5. Futerał na lornetkę teatralną.



N. 6. Woreczek na lornetkę teatralną.



N. 9. Haft gobelinowy do szlaku ryc. 7 i 8.

ty. Model odrobiony był z materyału brązowego w czarne pentelki a ozdobiony był obłożeniem z piór brązowych i czarnych. Brzegi przodów oszyte grubym jedwabnym sznurem.



N. 10. Plecy do ryc. 30.



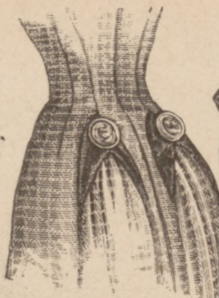
N. 11. Plecy do ryc. 22.



N. 14. Paletocik z podwójnym ranwersem, dla panienki lat 10—12.



N. 15. Paletocik z kapturkiem dla chłopca lat 7—9.



N. 12 Plecy do ryc. 20.



N. 13. Plecy do r. 35 w N. 47.



N. 16. Sukienka paletocikowa dla chłopczyka lat 2-4.

N. 22 i 11. Płaszczyk z pół szerokiemi rękawami podszyty futrem. Długi płaszczyk z tyłu wcięty do figury, ma poniżej wcięcia w pasie dodaną głęboką do spodu złożoną kontrafałdę, podszytą watowaną i pikowaną atłasową podszewką. W luźnych przodach dla lekkiego wcięcia dana jedna zaszewka. Pod luźne przy ręku w parę fałdek zaszyte rękawy, poddane są krótkie, watowane, atłasowe rękawki, w które z brzegu wsunięta jest tasiemka elastyczna. Model z niebieskawo stalowego pentelkowego materyału podszyty był futrem z sybirskich wiewiórek, a z wierzchu obłożony 12 cent. szerokiemi pasami imitacyi niebieskich lisów.



N. 17. Sukienka z kaftanikiem dla dziewczynki lat 4—6. Patrz ryc. 18. Krój na arkuszu N. VII fig. 38—43.



N. 18. Suknia z kaftanikowym stanikiem dla dziewczynki lat 4—6. Patrz ryc. 17.

N. 28. Ubranie dla dziewczynki lat 8-10,



N. 19. Stanik do r. 38 w N-rze 47.

Krój podług formy do ryc. 23 i 24 w N. 35 Tygodnika mód.

Ładny fałdami ozdobiony stanik, dopełnia plisowana lub marszczona spodniczka, żabot plisowany, kołnierz i ubranie mankietów z materyi w kratkę. Stanik z przodu zapięty na podwójne pentlicami z jedwabnego sznura złączone guziki. Model odrobiony był z szafirowego kaszmiru i materyi w kratkę białą i niebieską.

N. 29. Paletocik luźny krótki dla dziewczynki lat 6—8. Krój i plecy na dodatku z formami N. XIX fig. 100—104.

Ładny paletocik z materyału *noppé* w kolorze granatowym, zdobi kołnierzyk aksamitny i złocone guziki z kotwicami. Podszewka pod



N. 20. Paletot z fałdami. Patrz ryc. 12.



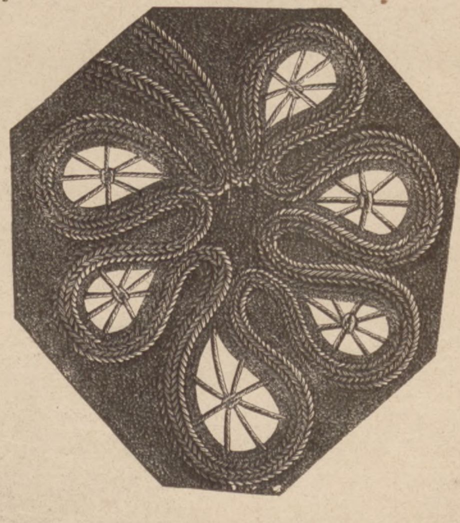
N. 21. Płaszczyk formą burnusa.



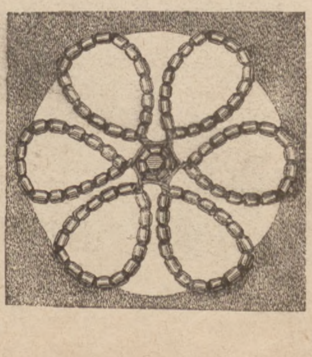
N. 22. Płaszczyk futrzany. Patrz ryc. 11.



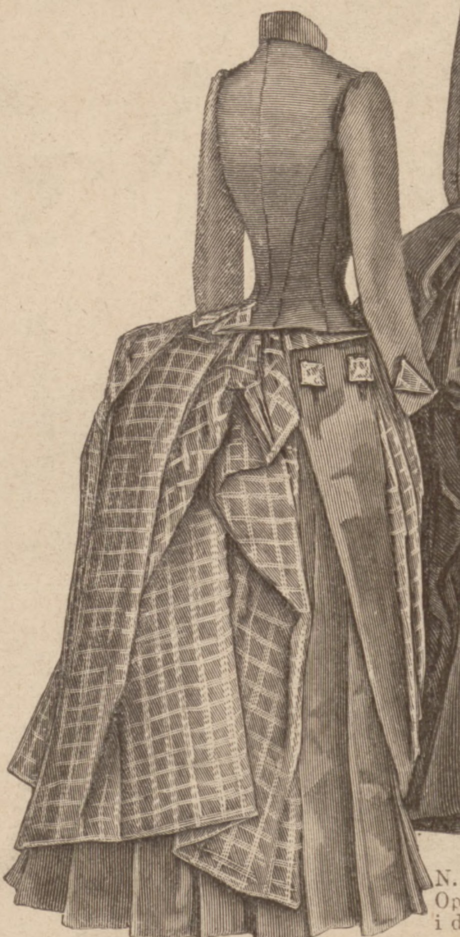
N. 23. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój i opis na arkuszu N. II, fig. 10—14.



N. 24. Naszycie sutaszem na kapeluszu filcowym. Patrz ryc. 25—opis w N. 47.



N. 25. Gwiazdka z perełek do kapelusza filcowego.



N. 26. Suknia z tuniką. Patrz ryc. 3. Krój na arkuszu N. XXIV, fig. 116.



N. 27. Suknia z wêżement. Opis w N-rze 47. Krój i deseń na arkuszu N. XIII, fig. 65—74.

kołnierzem z atłasu, listewki z brzegów i na szwach z satynki.

N. 30 i ryc. 10. Suknia z draperyą à panier. Krój na dodatku N. XXV fig. 117.

Model sukni odrobiony był z *lodenu* tabaczkowego koloru i ozdobiony kilku rzędami stębnówek, dawanemi w równych odstępach, jedwabiem ciemniejszego koloru. Mały model miary draperyi przedstawia fig. 117, na której litera *b* oznacza dolną część draperyi przedniej której brzeg górny sfałdowany wszywa się w pasek, a brzeg boczny z prawej strony sfałdowany do 26 cent. przyszywa się poniżej paska. Brzeg górny panier *a* także fałduje się i wszywa w pasek, brzeg boczny prawy podpina się w kilka małych fałdek a brzeg dolny trochę przymarszczony, podwija się do spodu złożony dwukropkiem do dwukropka i krzyżykiem do krzyżyka. Górny brzeg tylnego bryta c trzeba podług krzyżyków i punktów sfałdować, część dalszą w pukiel złożyć i spuścić, a brzeg boczny lewy gwiazdką do gwiazdki podpiąć. Z pod staniczka paletocikowego z ranwersami, widać kamizelkę na małe guziczki zapiętą.

N. 31 i 32. Dywaniki przed łóżko.

Rycina 31 przedstawia dywanik szydełkowy robiony ściegiem tunetańskim, z włóczki *congo* w dwóch cieniach oliwkowych. Jest to nowy rodzaj włóczki dwunitkowej skręcanej, podobnej do włóczki smyrneńskiej, tylko miększej i nie tak sztywnej jak tamta. Tło robione było cieniem ciemniejszym a szlaki jaśniejszym; w tych ostatnich pomiędzy supełkami pozostawione są gładkie odstępy, na których naszywa się kolorowe pompony. Próbkę ząbków brzeżnych dajemy na fig. 122. Rycina 33 przedstawia dywanik zdobny szlakiem krzyżykowym, do którego deseń daliśmy na arkuszu z krojam pod fig. 121. Tło stanowi gruby materyał popielaty naśladujący plusz, szlak w około dodany z kanwy Aïda. Model miał tło środkowe 68 cent. długie, 28 szerokie, szlak zaś 16 cent. szeroki; frendzla wiązana 9 cent. szeroka. Wyszycie krzyżowe dane włóczką kastorową, kolorem zielonym, niebieskim, ponsowym i żółtym.



N. 28. Ubranie dla panienki lat 8-10.

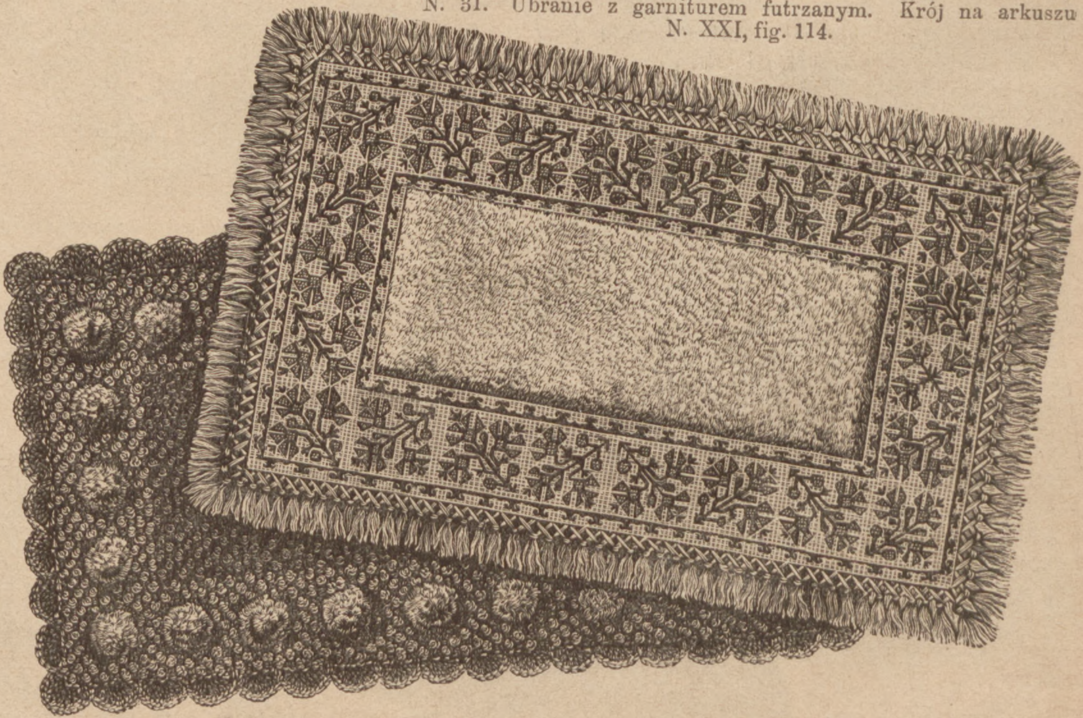
N. 29. Krótki luźny paletocik dla dziewczyki lat 4—6. Krój na arkuszu N. XIX fig. 100—104.



N. 31. Ubranie z garniturem futrzanym. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 114.



N. 30. Suknia z draperyą. Patrz ryc. 10. Krój na arkuszu N. XXV fig. 117.



N. 32. Dywanik przed łóżko, robota szydełkowa patrz fig. 122.

N. 33. Dywanik ze szlakiem krzyżykowym. Deseń patrz fig. 121.